NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata kosztuje:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 2 Rbs. Półrocznie 8 kor. 8 Mrk. — 4 Rbs. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 8 Rbs.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA, KRAKOW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.
Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Numer pojedynczy kosztuje 16 centów (32 halerzy).

Rok II. Kraków, 20 maja 1905 r. Nr. 21.

Zemsta ludu polskiego na rosyjskim szpiegu.

(Do artykułu na str. 2).



Numer ten zawiera 24 stronic druku!

Zemsta ludu polskiego na rosyjskim szpiegu.

(Do illustracyi tytułowej).

Rewolucya w Królestwie Polskiem ucicha zwolna. Wielkie ognisko dogasa, rzucając od czasu do czasu jaśniejszym trochę snopem iskier. Ale te iskry — przynajmniej jak na teraz — nie wzniecą już wielkiego pożaru. Umysły już nieco uspokojone i ludzie wyczekują owych szumnie przez rząd zapowiadanych ulg i reform konstytucyjnych. Lud likwiduje jeszcze tylko ostatnie rachunki z kierownikami i inspiratorami krwawych dni. Krwawa taka likwidacya miała niedawno temu miejsce w Łodzi.

Pobożne tłumy wypłynęły właśnie po nabożeństwie z kościoła Podwyższenia Krzyża św. Nagle krzyknął ktoś głośno, wskazując ręką na małego, niepozornego człeka: „Oto szpieg! szpieg rosyjski!" Napiętnowany publicznie mianem szpiega — zmieszał się i zbladł, lecz wkrótce, odzyskawszy samozachowawczy instynkt — rzucił się do ucieczki. Był to niejaki Maciaszek, łotr ostatni i szubrawiec, któremu zbrzydła dawno praca i w niecnym fachu szpiegowskim szukać chciał rentowniejszych dochodów. Maciaszek był zaufanym i szpiegiem moskiewskim i niejedno życie ludzkie miał na swem sumieniu. Zdrajca wiedział też, że na litość ani pobłażanie ludu nie ma co liczyć. To też wpadł prędko w ulicę Przejazd i otrzymawszy od jednej kucharki klucz od strychu — pomknął co żywo schodami na górę, a stamtąd dostał się w mgnieniu oka na dach domu. Ale prześladowcy jego nie dali za wygraną i tą samą drogą popędzili jego śladami. Próżno Maciaszek, będąc już na dachu, usiłował wystrzałami z rewolweru zaalarmować policyę i wojsko — próżno szamotał się i ryczał jak wściekły o pomoc i ratunek. Na dachu ujęły go silne ramiona kilku robotników. Już mieli zamiar zrzucić znienawidzonego szpiega z III piętra na bruk, atoli postanowiono coś innego. Sprowadzono go na dół i wydano na pastwę a zasłużoną karę — rozwścieczonemu tłumowi. Posypały się razy; słabe jęki, dobywające się z piersi zbrodniarza, dowodziły, że życie w nim jeszcze nie zgasło. Nadeszła wreszcie spóźniona ochrona policyjna i nadjechało Pogotowie ratunkowe. Zmasakrowanego szpiega przewieziono do szpitala, gdzie w niespełna pół godziny niecnego swego żywota dokonał. Na ciele jego znaleziono przy obdukcyi nie mniej jak 40 ran ciętych nożem, nie licząc potłuczeń, zadanych kamieniami, pięściami i kijmi.

Rycina nasza przedstawia te straszne momenty krwawej zemsty ludu. Na jednej widzimy, jak Maciaszka dopadli robotnicy na dachu — druga daje nam wyobrażenie o krwawej egzekucyi szpiega na ulicy.



Nowy dyrektor teatru miejskiego w Krakowie: Irena Solska, żona nowego dyrektora teatru krakowskiego.

Nowy dyrektor teatru miejskiego w Krakowie.

Rada miasta Krakowa miała w ostatnich dniach nie lada orzech do zgryzienia. Chodziło o to, że Rada miała rozstrzygnąć piekącą kwestyę teatralną, która podniecała umysły wszystkich, nietylko krakowian, ale całą Polskę. Chodziło o to, komu powierzyć dyrekcyę pierwszej sceny polskiej, sceny, zbudowanej i poświęconej narodowej sztuce. A zgłosili się na dyrektora teatru krakowskiego ludzie, z których każdy niemal dla sceny położył zasługi, każdy miał wśród publiczności zaciekłych zwolenników i przeciwników. Dość wspomnieć, że o dyrekturę teatru krakowskiego ubiegał się genialny autor „Wesela“, poeta, który sztukę dramatyczną polską na nowe pchnął tory, nowem orzeźwił tchnieniem, uczynił ją wielką, piękną i polską, rdzennie polską; ubiegał się dalej Solski, najwszechstronniejszy może artysta polski, wspaniały talent, przytem zapalony miłośnik sztuki i niezmordowany, a mający kolosalną rutynę sceniczną reżyser; stanął w szranki i Aleksander Bandrowski, najwybitniejszy śpiewak operowy. artysta wielkiej miary, człowiek, który Wagnera chciał przyswoić polskiej scenie. Wszyscy to kandydaci, z którymi ogromnie liczyć się należało, tembardziej, że cała prasa polska. że wszyscy literaci i wogóle cała inteligencya zabierała w sprawie obsadzenia dyrektury krakowskiej sceny miejskiej niejednokrotnie głos. Rajcowie miasta Krakowa znaleźli się tedy w nader trudnem położeniu rozstrzygnięcia tej kwestyi, która już przez wszystkich była rozstrzyganą. A trzeba ją było rozstrzygnąć tak, żeby zadowolnić większość, żeby dać większości dowód, iż kierownictwo sceny krakowskiej dostanie się w ręce najodpowiedniejsze, ku pożytkowi narodu i sztuki.

Rada miejska okazała się rzeczywiście godną i prawdziwie kulturną reprezentacyą miasta, zwanego Atenami polskiemi. Dyrektorem teatru został Ludwik Solski. Rada uchwaliła jednak przytem zaprosić Stanisława Wyspiańskiego do wzięcia udziału w komisyi teatralnej, w charakterze dramaturga teatru, za stałą pensyą. Nie dziw, że publiczność, że miłośnicy teatru i sztuki, powitali te uchwały z prawdziwem uznaniem i zadowoleniem. Dyrektorem wybrano bowiem kandydata najgodniejszego, a równocześnie zapewniono teatrowi nieocenioną pomoc i poradę genialnego poety, który może w roli dyrektora nie podołałby należycie nieuniknionym zadaniom i trudnościom administracyjnym, ale który w roli dramaturga, oryginalnym, twórczym swoim ideom będzie mógł dać pełny wyraz.

O Solskim rozwodzić się nie mamy potrzeby. Znają go wszyscy i wszyscy go cenią należycie. Przypomnimy to tylko, że Kraków, zyskując Solskiego, zyskał podwójnie, bo zyskał znakomitego artystę, jakich niewielu w Europie i znakomitego reżysera-dyrektora. Wykształcony, energiczny, zapobiegliwy, pod względem finansowym również do prowadzenia teatru przygotowany, Solski posiada wszelkie pożądane kwalifikacye na dyrektora. Możemy być pewni, że wytęży on wszystkie siły, aby teatr krakowski, który w ostatnich czasach tak znacznie upadł, podnieść i utrzymać na najwyższym poziomie, tembardziej, że wiemy, iż jedynym motywem, który Solskiego skłonił do starania się o dyrekcyę krakowskiego teatru, była ambicya artystyczna, pragnienie zdobycia pola do samodzielnej działalności, gdzieby mógł swe siły i zdolności rozwinąć w całej pełni.

Solski, liczący dzisiaj przeszło pięćdziesiątkę, a dwadzieścia już lat obracający się na scenie, pierwsze kroki artystyczne stawiał na scenie krakowskiej. Po krótkiej stosunkowo włóczędze z prowincyonalną trupą Trapszy, później Wójcickiego i Kremskiego, a wreszcie Puchniewskiego, osiadł na stałe w Poznaniu, poczem przeniósł się znowu do Krakowa, gdzie przebył bez przerwy lat siedemnaście, będąc zawsze chlubą i ozdobą teatru. Dyrektorowie zmieniali się: Koźmian ustąpił miejsca Glicksonowi, Glickson Pawlikowskiemu, Pawlikowski Kotabińskiej — Solski zmieniał tylko role, zdobywając sobie coraz obszerniejszy repertuar i coraz większe znaczenie. Gdy jednak Pawlikowski objął teatr lwowski, Solski, któremu rządy p. Kotarbińskiej stanęły kością w gardle, porzucił Kraków, który całą duszą ukochał i wyjechał do Lwowa. Tam, na tle wspaniale dobranego zespołu dramatycznego, potężny jego talent zabłysnął w jeszcze wspanialszych barwach i to nietylko talent sceniczny, ale także reżyserski. Solski — to artysta z duszą gorącą i wrażliwą, artysta, wkładający w każdą kreacyę całą swą indywidualność, dający nie maski ludzkie, ale ludzi żywych, z krwią i kością, tworząc z każdej roli, a repertuar jego jest wszechstronny, prawdziwe arcydzieło.

Takiego dyrektora pozyskał teatr krakowski. Że odpowie on wymaganiom, o tem nie wątpimy. Już sam Solski, jako artysta i reżyser, jest dla Krakowa nieocenionym nabytkiem. A trzeba dodać, że i personal kobiecy naszego teatru, dziś tak bardzo ubogi w prawdziwe talenty, pozyska w żonie nowego dyrektora, p. Irenie Solskiej, siłę wielką i potrzebną.

Podajemy obok portrety Solskiego i jego żony.

Akademia rolnicza w Dublanach pod Lwowem.

Rolnictwo — to jedna z najpotężniejszych dźwigni dobrobytu krajowego, a zarazem najpiękniejsza i najszlachetniejsza dziedzina, w której tworzy umysł i ręce ludzkie. Najszczytniejszym jest zawód ziemianina, rolnika; i istotnie, czyż może być coś piękniejszego, jak pielęgnowanie rodzinnego zagona, jak wydobywanie z łona ziemi ojczystej — chleba codziennego? Racyonalne rolnictwo jest nauką skomplikowaną i niełatwą, w zakres której wchodzą najróżnorodniejsze gałęzie pomocniczych nauk, jak chemia, botanika, gleboznawstwo i setki innych. Racyonalne rolnictwo przedstawia zaś tylko jedynie doniosłość ekonomiczną.

To też w naszym kraju, kraju *par excelence* rolniczym i ograniczonym, niestety! — li tylko do rolnictwa — okazywała się oddawna potrzeba otworzenia specyalnych zakładów wychowawczych dla pokolenia przyszłych rolników, zakładów, gdzie młodzież ta miałaby możność teoretycznego i praktycznego doskonalenia się w zawodzie ziemianina.

Jednym z takich wyższych zakładów rolniczych jest Akademia rolnicza w Dublanach pod Lwowem.

W uroczej okolicy, siedm kilometrów od Lwowa, leży rozległa wieś Dublany. Nad niskiemi, gontem krytemi domkami, dominuje ogromem swym i wspaniałością gmach Akademii rolniczej. Gmach odpowiada w zupełności wszystkim wymogom postępowej hygieny i pedagogii. Sale wykładowe są obszerne i jasne. Prócz całego ich szeregu znajduje się tu również duża sala koncertowa i jadalna. Obok głównego gmachu jest duża przybudówka. Tu znajdują się pomieszkania akademików, tu młodociani pensyonarze otrzymują za skromną opłatą miłe, schludne i kompletnie umeblowane pokoiki.

Tuż obok, pośród rozległego parku, znajduje się cichy, skromny Domek Boży. Kościółek to niedawno zbudowany, a nabożeństwa odprawiają w nim



Nowy dyrektor teatru miejskiego w Krakowie: Ludwik Solski, któremu Rada miejska krak. powierzyła dzierżawę Teatru miejskiego w Krakowie.



Promocya „sub auspiciis imperatoris“: Dr. Bronisław Bandrowski.

na przemian kapelan Akademii i ks. proboszcz Serwacki z Molechowa.

Zakład posiada oprócz tego znakomicie zorganizowaną straż ogniową, której dzielni członkowie rekrutują się wyłącznie z akademików. Niespożyte zasługi około założenia tej straży położył nieżyjący już dziś profesor akademii dublańskiej — Szalay. Odważna straż ogniowa dublańska znaną jest w całej okolicy. Niedawno odbyło się poświęcenie nowego sztandaru straży.

We Lwowie cieszą się dublańczycy ogólną sympatyą. W karnawale należą zaś do stałych, renomowanych aranżerów i wodzirejów balowych. Umią się bawić — ale umią też się uczyć i pracować dla dobra ojczystej ziemi, którą własnemi rękami uprawiają.

Wyborne dwa zdjęcia fotograficzne, które jako uzupełnienie naszego artykuliku w numerze niniejszym załączamy – przedstawiają: pierwsze ogólny widok gmachu Akademii dublańskiej, drugie zaś grupę ochotniczej straży ogniowej dublańskich akademików.

Promocya „sub auspiciis imperatoris“.

W poniedziałek dnia 15 bm. przed południem odbyła się na uniwersytecie cesarza Franciszka Józefa I we Lwowie rzadka uroczystość, promocya „sub summis auspiciis imperatoris“.

Jest to już trzecia tego rodzaju promocya w murach lwowskiej „Alma mater“. Pierwsza, promocya dra Romana Negrusa na doktora filozofii, odbyła się 12 października 1901. Dr Roman Negrus pracuje w dziedzinie chemii fizycznej, a prace jego cieszą się wielkiem uznaniem w kołach przyrodniczych. Nie mniejszem uznaniem cieszy się również p. Jan Łukasiewicz, doktor filozofii, pracujący w dziedzinie ścisłej filozofii, którego promocya odbyła się w rok później, mianowicie 15 listopada 1902 a wielkie również nadzieje rokuje p. Bronisław Bandrowski obdarzony ostatnio pierścieniem momarszym, gdyż odznacza się on obok niezwykłych zdolności i wielką pracowitością. Dzięki tym zaletom cieszy się on powszechnym mirem wśród profesorów swych i szerokich kół kolegów.

P. Bronisław Bandrowski urodził się w roku 1880 w Mościskach koło Lwowa, gdzie zmarły przed paru laty ojciec jego, ś. p. Alfred, brat genialnego śpiewaka i twórcy postaci arcydzieł Wagnera Aleksandra, rozpoczął karyerę sądową.

Do szkół średnich uczęszczał Bronisław Bandrowski we Lwowie, dokąd z czasem ojciec jego przeniesiony został w charakterze radcy. Po złożeniu egzaminu dojrzałości w gimnazyum św. Anny w Krakowie zapisał się p. Bandrowski na wydział filozoficzny w uniwersytecie lwowskim, po ukończeniu którego rozpoczął zawód profesorski w gimnazyum w Rzeszowie.

Jak się dowiadujemy, Bandrowski wyjedzie w najbliższej przyszłości za granicę, celem odbycia dalszych studyów.

25-letni jubileusz kapłana-profesora.

Kapłan, to zastępca Boga na ziemi, powiernik i pocieszyciel upadłych i cierpiących, to cichy bojownik szczytnych ideałów chrześciańskich — ze złem i przewrotnością świata.

W żadnym zawodzie nie mamy i nie mieliśmy tylu wybitnych mężów, świecących po wieki całe blaskiem swych cnót, miłości i ludzkości, jak właśnie w stanie kapłańskim. Dość wspomnieć z historyi narodu naszego takie postacie, jak św. Wojciech, Stanisław lub Kazimierz, błogosławiony Wincenty Kadłubek, kardynał Hozyusz, ks. Piotr Skarga i wielu innych.

Ale i nasze czasy nie są pozbawione wybitnych świetnych działaczy na niwie Chrystusowej. Mamy żyjących kapłanów, otaczanych czcią i miłością społeczeństwa, mamy świątobliwych mężów nauki i wybitnych teologów.

Do takich należy wielebny ks. kanonik dr. Stanisław Spis, który w dniu swego patrona dnia 8 b. m. obchodził 25 letni jubileusz pracy na wydziale teologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Czcigodny jubilat należy do najbieglejszych teologów, nietylko w Polsce, ale w całej chrześcijańskiej Europie. Niektórzy wychowankowie jego zajmują dzisiaj najwybitniejsze stanowiska w hierarchii kościelnej, że wspomnimy tylko ks. arcybiskupa Bilczewskiego. W uroczystym dniu jubileuszu zjawiła się u jubilata-profesora deputacya złożona z 10 kapłanów, na której czele stanął ks. dr Caputa, proboszcz kościoła św. Anny. Imieniem deputacyi wygłosił jej przewodnik pełną czci i uwielbienia przemowę do ks. kanonika, poczem wzruszonemu jubilatowi wręczono misternie cyzelowany złoty puhar. Wzruszony jubilat podziękował ze złami w oczach za dowód uznania i miłości i zarazem oświadczył, że cenny dar pamiątkowy przeznacza do skarbca katedry wawelskiej. Kielich ten, prawdziwe arcydzieło kun-



25-letni jubileusz kapłana-profesora: Ks. dr. St. Spis.

sztu złotniczego projektował p. Józef Hakowski, wykonał zaś p. E. Korosadowicz.

Ks. kanonik Spis, oprócz wydanej pracy na polu naukowem, zyskał sobie również piękną kartę w dziejach naszego miasta. Od szeregu lat bowiem pracuje jako radny w Radzie miejskiej, służąc zawsze rozumną radą we wszystkich prawie sprawach. Cenią go też zarówno uczniowie, jak i całe obywatelstwo Krakowa. Ks. Spis jest bowiem jednym z najbardziej w Krakowie popularnych duszpasterzy, jedną z najbardziej znanych osobistości. Zżył się on z Krakowem i pokochał go całą duszą, a przedewszystkiem umiłował Wawel i katedrę wawelską, o którą zawsze dbał i hojnie się przyczyniał do jej upiękrzenia. Pełen godności, otaczany powszechną czcią i uznaniem, nie ubiegający się o godności, przytem jeden z najtęższych teologów, jest wzorem kapłana-obywatela, umiejącego służbę bożą pogodzić z służbą publiczną, z służbą dla dobra i pożytku społeczeństwa.

Ks. Spis, jako profesor uniwersytetu, zyskał sobie wśród kolegów największe uznanie, a ponadto w rocznikach naszej Almae Matris figuruje jako jeden z jej dobroczyńców. Ks. Spis ofiarował bowiem Uniwersytetowi dwa złote, kosztowne łańcuchy, które jako oznakę swej godnodności noszą dziekani wydziału teologicznego w czasie uroczystości.

W numerze dzisiejszym, łącząc się z hołdem społeczeństwa, składanym do stóp czcigodnego duszpasterza i uczonego — podajemy portret zasłużonego kapłana-jubilata.



Akademia rolnicza w Dublanach pod Lwowem: Ogólny widok gmachu akademii dublańskiej.



Akademia rolnicza w Dublanach pod Lwowem: Grupa ochotniczej straży ogniowej dublańskich akademików.

KWIAT NĘDZY

POWIEŚĆ.

33 (Ciąg dalszy).

— Więc siedzisz w błocie?

— Po szyję.

— Wytłómacz się!

— Generalną spadkobierczynią jest panna Zofia Żarska, zobowiązana jedynie do wypłacania mi dożywotniej pensyi z każdej sukcesyi po piętnaście tysięcy rubli rocznie...

— Co czyni razem trzydzieści tysięcy rubli.

— Wiesz przecie, że teraz wydaję więcej, niż dwa razy tyle.

— Co zatem postanowiłeś?

— Ożenić się z Żarską.

— I od jutra zaczynasz się starać o jej rękę?

— Jak rzekłeś... od jutra. Zaprawdę, byłoby rzeczą zbyt głupią, gdyby obie olbrzymie fortuny przejść miały w obce ręce.

— Czyż zawsze tego nie mówiłem? Ale odpowiadałeś mi, że nie możesz zgodzić się na mezalians.

— Rozmyśliłem się... Masz tu paręset rubli za usługę mi oddaną. Jedź zaraz do Warszawy... Gdybym cię potrzebował, napiszę, albo zatelegrafuję... Bądź zdrów stary!... Do widzenia Bogajesiu!...

— Niechże ci w amorach szczęście sprzyja!

VII.

Jerzy, z wrodzonym sobie sprytem, rozpoczął zabiegi o rękę Zosi, starając się przedewszystkiem o pozyskanie jej życzliwości i zaufania. Nadskakiwał dziewczęciu, myśli odgadywał, nazywał „siostrą", udawał tęskne rozmarzenie, a chociaż od dawna domyślał się jej miłości dla młodego malarza, pozostawał z nim w jak najlepszych stosunkach, na spacerach częstował go cygarami, unosząc się głośno nad talentem Piotra i zachwycając się jego obrazami. Słowem, zmienił zupełnie całe zachowanie się dotychczasowe. Z dumnego i chłodnego panka stał się przystępnym i czułym młodzieńcem; z niegrzecznego i opryskliwego — układnym i uprzejmym.

Pewnego poranku — było to w niedzielę — spotkał Zosię w parku, powracającą z kościoła. Zbliżył się pospiesznie i podał jej świeżo rozkwitłą różę.

— Dla ciebie, siostrzyczko, zerwałem tę oto różyczkę — rzekł słodko. — Wepnij ją w bujne włosy. Na twojej ślicznej główce wydawać się będzie stokroć piękniejszą.

Panienka wzięła podany kwiat obojętnie i po chwili — niby niechcący — opuściła go na ziemię.

— Gdybyś otrzymała różę od pana Piotra, nie rozstałabyś się z nią tak szybko.

— Nie rozumiem pana.

— Wyrażam się przecież bardzo jasno. Łatwo mi odgadnąć sekret, który pragniesz ukryć przedemną.

Ona milczała. W powłóczystem jej spojrzeniu wyczytał Jerzy wyraz nieufności.

— W życiu twojem są tajemnice, siostrzyczko, których odkryć nie pragnę. Nie chcę nic słyszeć o przeszłości, lecz dałbym wiele, gdybym się mógł dowiedzieć, kto obecnie wywołuje silniejsze bicie twojego serduszka.

— Nic nie ukrywam, nie mam żadnej tajemnicy — odpowiedziała poważnie.

— Czy być może?

— Zaręczam panu.

— Czy mam ci wierzyć na ślepo?

— Tak... proszę mi wierzyć.

— Otóż nie wierzę!... Śliczne usteczka pani kłamią.

— Panie Jerzy!

— Kochasz...

Ona drgnęła i osłabiona nagłem wzruszeniem oparła się mimowoli na ramieniu idącego obok niej młodzieńca.

— Zamilkłaś, nie chcesz się przyznać... nie chcesz się usprawiedliwić...

— Dlaczego miałabym się usprawiedliwiać? Wszakże kochać nie jest zbrodnią, — szepnęła. — Czyż nie jestem wolną?

— Wolną? wolną... w tym domu?

— Chciałeś pan powiedzieć, że dom książęcej nie jest moim domem, że jestem tu obcą... Pamiętam o tem. Wprowadzona do niego z łaski twojej zacnej ciotki, zajmuję nienależne mi miejsce. Chciej jednak wiedzieć, że położenie to sprawia mi niezmierną przykrość, czuję bowiem, że nie wypłacam się należycie za dobrodziejstwa, któremi mnie księżna obsypała. Cierpię z tego powodu bardzo; nie wypadało zatem, panu szczególniej, przypominać mi, że jestem tu tylko intruzem.

— Źle, panno Zofio, tłómaczysz sobie myśl moich wyrazów.

— Och, znam myśli pańskie od dawna; wiem, że ci zawadzam... To też zdziwiłam się przed paru dniami bardzo, gdyś żądał odemnie przyjaźni, prosząc, abym się uważała za twoją siostrę. W prostocie mojej wierzyłam w szczerość słów pańskich, zgodziłam się być ci siostrą życzliwą. Zbłądziłam... pan mnie, jak dawniej, nienawidzisz. Czuję, że zastawiasz sieci i pragniesz mnie w nie uwikłać, a przecież staram się w otoczeniu twojem rodzinnem jak najmniej miejsca zajmować, usuwając ci się nieustannie z drogi..

— Ależ, najdroższa panno Zofio, tracisz głowę! Nie jesteś tu obcą, tylko przybraną córką mojej ciotki. Serce jej do ciebie należy; moje zaś również stało się twoją własnością...

— O, nie mów pan tego!

— A jednak mówić będę ciągle. Tak, tak istotnie... oboje, ja i księżna, ubóstwiamy cię... ubóstwiamy całą duszą. Czy rozumiesz teraz, dlaczego cię badam i dlaczego chciałbym poznać tajemnicę twego serca? Zazdroszczę wszystkim, których kochasz! Nie zdajesz sobie sprawy, jak mi jesteś drogą!

Zosia zatrzymała się na środku piaskiem wysypanej ścieżki i rzekła cichym głosem:

— Przed chwilą zarzuciłeś mi pan kłamstwo. Teraz mnie znowu zdaje się, że pan kłamiesz.

— Panno Zofio!

— Tak, kłamiesz pan... W jakim celu? Nie wiem; czuję jednak, że kłamiesz. Czuję, że chcesz mnie popchnąć nad brzeg przepaści. Dlaczego mówisz o uczuciu, którego wcale nie żywisz dla mnie? Czy, korzystając z mego niedoświadczenia i nieznajomości życia, chcesz wywołać w duszy mojej zamęt i niepokój? Na co to wszystko? na co to udanie?

— Nie udaję... kocham cię!

— O, proszę pana!... Zkądżeby miłość dla mnie zrodzić się miała tak nagle i niespodzianie? Wszakże jeszcze bardzo niedawno, jeśli nie nienawidziłeś biednej przybłędy, to, co najmniej, byłeś dla niej zupełnie obojętny.

— Podbiłaś mnie, oczarowałaś, zabiłaś mi serce — rzekł młody człowiek, chwytając dziewczę za rękę, którą ona napróżno z dłoni jego starała się wyrwać. — Uwielbiam cię! ubóstwiam! jak to już raz ci powiedziałem i pragnę powtarzać nieustannie. Zazdroszczę temu... temu, którego kochasz, bo nie ulega wątpliwości, że kochasz innego. Wiem o tem, jestem tego pewny!

— Gdyby nawet tak było, cóż to pana obchodzić może?

— Obchodzi mnie... bo uważam cię już prawie za moją żonę.

— O!

— Czy chcesz, żebym ci powiedział kogo kochasz?

Zofia, nagle zarumieniona, cofnęła się w tył, aby się oddalić, lecz Jerzy objął jej wiotką kibić silnem ramieniem i na odwracającej się od niego twarzy dziewczęcia — wycisnął gorący pocałunek...

— Kocham cię! — szeptał, grając komedyę wzruszenia. — Musisz być moją, bo kocham, kocham, kocham! Poślubię cię, uczynię hrabiną Wielogrodzką, zmuszę cały nasz świat arystokratyczny do pochylenia przed tobą czoła... Mieć będziesz wszystko, czego tylko zapragniesz, uczynię cię najszczęśliwszą z kobiet...

Lecz ona już go nie słuchała. Wyrwawszy mu się z rąk, popędziła w las jak szalona, dziwnym wstrętem przejęta. Biegła ciągle przed siebie, uciekała od Jerzego, chociaż ten jej nie gonił. Nigdy w życiu nie czuła się tak strasznie oburzoną i upokorzoną w oczach własnych.

Po dość długiem błądzeniu pośród gęstwiny leśnej, posłyszała, jak zegar pałacowy wydzwaniał jedenastą.

— Księżna czeka na mnie. Trzeba wracać — pomyślała.

Wtem uszu jej doleciał odgłos zbliżających się kroków.

— Kto to?... czy nie Jerzy?

Gdyby chciał ją znowu napastować, bronić się będzie... odepchnie go... odepchnie, odtrąci!... Wbiegła na kamienne schodki, wiodące do wnętrza starej, opuszczonej i zrujnowanej kapliczki.

Na ścieżce ukazał się Piotruś. Spostrzegł Zofię, oczy pełne zachwytu w nią wlepił... i stanął.

— Ach, to pan! — rzekła z wdzięcznym uśmiechem, rozjaśniającym nagle jej twarz chmurną przed chwilą, teraz pogodną i uspokojoną. — I pan, jak widzę, odwiedza moją ulubioną kapliczkę? Co prawda, całe jej otoczenie wydaje mi się bardzo malownicze...

— Chciałem właśnie je naszkicować — i to mówiąc, złożył pudełko z farbami na kamieniu, pokrytym puszystą powłoką mchu. — Ten zakątek jest w rzeczy samej cudowny. Zbliżająca się jesień kładzie na jaskrawej niedawno zieloności barwy złote i purpurowe, takie ciepłe w tonie, takie kolorystyczne!... Ach! jak tu dobrze, jak bardzo czuję się szczęśliwym... Ile razy przychodzę w tę stronę, nie chce mi się nawet myśleć o powrocie do mojej miejskiej, pustej, smutnej pracowni!

— A jednak w swojej pracowni jesteś pan u siebie, gdy tu...

— Tak, tak... tu tylko pani jesteś u siebie... jakby w własnym królestwie... w tym lesie... w parku... w pałacu...

— Och, nie! i ja nie jestem tu u siebie... pan wiesz o tem, bo ci to już powiedziałam... i ja tu jestem obcą.

Usiedli na wilgotnych stopniach kapliczki.

Rozmawiali z sobą dość długo, nie wymówili jednak ani razu słowa „kocham", chociaż oczy ich pałały wielką i prawdziwą miłością, chociaż wiedzieli, że wkrótce rozstać się muszą, bo praca Piotra już była prawie skończoną, więc młody malarz za dni parę opuści Zahajce, aby powrócić do Warszawy. A potem... potem...

Może się już nigdy nie zobaczą!

VIII.

Jerzy, zastanowiwszy się głębiej, przyszedł do przekonania, że wziął się do rzeczy zbyt gwałtownie; że sposób, w jaki się oświadczył Zosi, mógł ją rozdrażnić i przejąć trwogą, zmienił więc zupełnie dalsze postępowanie. Był dla niej uprzejmy i grzeczny, lecz zachowywał się ciągle taktownie i przyzwoicie. Zaczął pozować na starszego brata, otaczającego młodszą siostrę czułą opieką — lecz o miłości już nie wspominał wcale. Podstępny i skryty, czekał na pomyślną chwilę do przeprowadzenia swoich zamiarów.

Ksiądz Jan Maryan Wielogrodzki i Filip Glenmour, spodziewani od dawna, przybyli nareszcie do Zahajec. Przyjazd ich ożywił wszystkich. Rozpoczęły się wspólne wycieczki do lasu, pasieki i oddalonych folwarków, położonych w miejscowościach malowniczych.

Piotr jeden rzadko kiedy brał w nich udział, zajęty był bowiem wykończaniem dekoracyjnych obrazów, którymi przyozdabiał wielką salę pałacową.

Filip, doskonały znawca sztuki, obejrzawszy jego prace, rzekł do młodego malarza:

— Obrazy twoje są w ogólności bardzo ładnie skomponowane i namalowane, a o portrecie panny Zofii mogę śmiało powiedzieć, że jest prześliczny.

— Życzliwość pańska dla mnie sprawia — odparł Piotr — że ci się wszystko dobrem wydaje.

— Nie, nie! Masz duszę na wskroś artystyczną, a dzięki sumiennej pracy udoskonaliłeś i uszlachetniłeś swoją technikę. Niejeden z naszych mistrzów nie powstydziłby się na twoich *panneaux* podpisać. Nadto, powiem ci szczerze, że wizerunek wychowanicy księżnej wywiera na mnie bardzo silne wrażenie, przypomina mi bowiem moją siostrę, gdy była w jej wieku. Utraciłem ją niestety i nie wiem nawet, co się z nią dzieje... Pewno umarła — dodał mocno wzruszony.

Prawdziwa przyjaźń łączyła Glenmoura z księdzem Janem. Ten ostatni jednak nigdy mu nie opowiadał, w jaki sposób Zosia dostała się do domu księżnej. Filip zatem nie mógł się domyśleć, jak bliskiem mu jest krwią piękne i dobre dziewczę. Pokochał je jednak szczerze, pupilka bowiem wielkiej damy urokiem swoim, pełnym niewysłowionego czaru, podbijała wszystkich, przebywających choćby czas krótki w jej otoczeniu.

Piotr pod wpływem tego uroku stworzył istotnie znakomite dzieła. Ubóstwiał ją całą potęgą pierwszego, czystego, młodzieńczego uczucia, nigdy jednak nie ośmielił się mówić z nią o swojej miłości. Gdy zrana wchodziła do sali, w której malował, dusza jego napełniała się jakąś świętą błogością, a prowadzone z nią rozmowy o sztuce, literaturze i życiu, ryły się niezatartemi zgłoskami w jego pamięci, kształcąc jego umysł i uszlachetniając serce. Dojrzewał moralnie w jej obecności, równie jako człowiek i jako artysta.

Jerzy, któremu życzliwość Zosi dla malarza

nie była tajemną, pragnął dowiedzieć się czegoś pewnego o przeszłości Piotra, z tego więc powodu starał się ująć sobie Filipa Glenmoura i nadskakiwał mu, oprowadzając go po rozległej posiadłości ziemskiej Zahajec. Pewnego ranka wybrali się razem we dwóch do lasu. Czas był cudny, chociaż powietrze dość chłodne, jak zwykle w naszym kraju w pierwszych dniach wczesnej jesieni.

— O ile wiem — rzekł Wielogrodzki — jesteś pan przyjacielem przebywającego u nas chwilowo młodego artysty.

— Tak — odparł Amerykanin — i szczycę się jego przyjaźnią.

— I znasz go od dawna?

— Mniej więcej lat osiem. Gdy go poznałem, mógł mieć najwięcej rok czternasty.

— Liczy więc obecnie zaledwie dwadzieścia dwa. Ależ to dzieciak!

— Genialny dzieciak, chciałeś powiedzieć, bo nie ulega wątpliwości, że wkrótce stanie w szeregu mistrzów.

— O, o, panie Glenmour, zdaje mi się, że trochę przesadzasz.

— Głęboko jestem przekonany, że czekają go w przyszłości nadzwyczajne, światowe tryumfy. Portret panny Zofii to istne arcydzieło.

— Przyznasz pan, że śliczny model przyczynił się niemało do podniesienia wartości i uroku malowidła. Miał szczęście, że chciała mu pozować.

— Nie widzę w tem nic dziwnego, oboje są młodzi i piękni, więc lgną do siebie, jak to mówią polscy chłopi.

— Otóż tego właśnie się lękam, bo zgodzisz się chyba, że pan Piotr nie jest odpowiednią partyą dla przybranej córki mojej ciotki.

— W dzisiejszych czasach różnice społeczne wyrównywa prawdziwy, wielki talent; ten zaś nasz młody artysta posiada. Nadto majątek i urodzenie nie są głównymi warunkami szczęścia w pożyciu małżeńskiem. Dają je tylko prawe charaktery i wzajemna miłość, na szacunku oparta.

— Pan należysz do czasów i szkoły romantycznej — rzekł Jerzy, uśmiechając się złośliwie. — „Z pałaców, sterczących dumnie, zejdź luba do mojej chatki...“ Tak było może niegdyś; dziś do szczęścia potrzeba dobrobytu, a nawet zbytku. A przytem, czy sądzisz, że księżna zgodzi się wydać Zosię za biednego malarczyka, o którym nikt nie wie, kto go rodzi i skąd pochodzi?

— Urodził się na warszawskim bruku.

— A jego ojciec i matka?

— Nie pytałem go o nich nigdy.

— Tym sposobem sprowadziłeś pan do domu cioci człowieka, którego pochodzenie jest ci zupełnie nieznane?

— Znam go samego, a to mi zupełnie wystarcza.

Odpowiedź była sucha, stanowcza i kategoryczna.

Jerzy pojął, że dalsze badanie na nicby się nie przydało; w duszy zaś pomyślał sobie: „No! i w tym dobrodusznym facecie mieć będę prawdopodobnie zażartego przeciwnika“. Czuł, że przyszłość, o jakiej marzył, pokrywa się czarnemi chmurami, że za żadną cenę nie pozyszcze miłości Zosi. Co zatem począć? W jaki sposób ją zdobyć? Cofnąć się nie myślał, dopokąd nie wyczerpie wszelkich środków, jakie mu podyktuje chciwość, duma i pewność siebie.

Wtem między krzakami leszczyny ujrzał naprzeciw siebie stryja i Zosię, opierającą się na ramieniu Piotra.

— Nareszcie spotykamy panów — zawołał ksiądz Jan z poczciwym uśmiechem na ustach. — Pół godziny was szukamy. Zosia nas wiedzie po jej tylko znanych ścieżkach, przez ciernie i głogi...

— Ksiądz Wielogrodzki, zawsze na mnie łaskaw, widząc, żem zmęczona, prosił pana Bułata, żeby mi podał ramię...

— Pozwolisz, panno Zofio — rzekł Jerzy, mierząc artystę nieprzyjaznym wzrokiem — że ja cię teraz poprowadzę...

— Och, obecnie, na gładkiej drodze, nie potrzebuję niczyjej pomocy. Pójdę sama, o własnych siłach.

Po tych słowach zapanowało głuche milczenie. Zmęczona przechadzką gromadka — wróciła do pałacu.

Po śniadaniu ksiądz Jan z Glenmourem udali się na partyę karambola do bilardowego pokoju; Piotr do wielkiej sali, którą dekorował; Zosia do swojej sypialni na pierwszem piętrze; księżna zaś do salonu, gdzie po chwili wsunął się Jerzy.

— To ty? — rzekła, zdziwiona nieco jego widokiem.

— Nie oczekiwałaś mnie cioteczko?

— Powiem szczerze, że ciebie najmniej się spodziewałam... prędzej Zosi. Lecz i ona teraz często mnie opuszcza, musi bowiem robić honory domu i towarzyszyć naszym miłym gościom w ich pielgrzymkach po polach i lasach...

— Zosia jest niewdzięczną. Zresztą łatwo się domyśleć, że mam czem innem, nie tobą, głowę nabitą...

— Chciałeś pewno powiedzieć, że zajmuje się obrazami, które pan Bułat maluje. Nie dziwię się jej wcale i nie mam tego za złe, obrazy są ładne, a ona posiada wielkie poczucie piękna.

— Nie dziwisz się zatem także, że rozkochała się w artyście...

— Skądże ty wiesz o tem?

— Skąd?!... mniejsza, dość, że wiem. Pan Glenmour, przyjaciel stryja, bo nie żałuje, dyabli wiedzą w jaki sposób zdobytych, pieniędzy na cele dobroczynne, nie zna familii Piotra. Nie wie wcale skąd pochodzi i kto go rodzi...

— A cóż to nas obchodzić może?

— Mówisz cociu tak, jakbyś nie kochała panny Zofii.



...spotkał Zosię w parku, powracającą z kościoła.

— Przeciwnie, kocham ją bardzo. Nie mogłabym rodzonej córki kochać więcej!... Być może, że pan Piotr Bułat jej się podobał, że sobie nim nawet trochę zawróciła głowę, lecz przecie nie pójdzie za mąż bez mego zezwolenia, a ja go nie udzielę, dopóki się nie dowiem, kim jest młodzieniec, jak się prowadzi i jaką jest jego najbliższa rodzina...

— Zosia, gdy zechce, potrafi wyprowadzić cię w pole... a ty oddasz ją temu człowiekowi.

— Dlaczego jednak, powiedz, jeśli jej nie kochasz, zajmujesz się tem wszystkiem tak bardzo? Gdy ci powiedziałam, jak byłabym szczęśliwą, gdybyś się z nią ożenił, odepchnąłeś moją propozycyę z wstrętem i oburzeniem, więc jeśli ona kocha innego, nie masz dziś nic do powiedzenia, nie powinieneś mieszać się do sprawy, która cię nic a nic nie obchodzi.

— Ależ, ja ją kocham! — zawołał Jerzy.

— Nie, nie! nie kochasz jej wcale.

— Kocham... Już nawet wyznałem Zosi moją miłość...

— Więc nie przeraża cię jej nazwisko?... hańbiący wyrok, skazujący jej ojca na ciężkie roboty na Syberyi jest ci obojętny?... sądzisz, że to małżeństwo nie poniży cię w oczach ludzkich i nie splami twego honoru?... Nie, nie! Nie chcę wierzyć w to wszystko, więc lepiej przerwijmy rozmowę, która mnie irytuje i udręcza.

— Powtarzam ci cioteczko raz jeszcze, że ją kocham.

— Kłamiesz!

— Nie kłamię. Pokochałem Zosię nagle, niespodzianie... może pobudzony zazdrością...

— I poślubiłbyś ją pomimo dramatu, rzucającego cień na jej rodzinę?

— Wezmę ją za żonę pomimo wszystkiego.

— Oh, Jerzy, Jerzy! Jeśli mówisz prawdę, szczęście moje byłoby bez granic — mówiła księżna, rozpłomieniona radością — nie miałabym już o co więcej Boga prosić! Połączyć was oboje było moim jedynym celem w życiu... Więc powiadasz, że ją kochasz?... Dobrze, dobrze! ale teraz odejdź... Muszę się z nią widzieć i wszystko jej powiedzieć, a ponieważ nie wątpię, że uczucie twoje podzielone jest przez Zosię, od dziś dnia uważać was będę za narzeczonych.

IX.

Księżna zadzwoniła na pokojówkę.

— Idź na pierwsze piętro i poproś pannę Zofię, żeby tu przyszła.

Po chwili drzwi się rozwarły i Zosia wbiegła do salonu.

— Przepraszam, moja droga, że po ciebie posłałam, ale właśnie deszcz padać zaczął, więc prawdopodobnie nie pójdziesz na spacer — rzekła matrona, wskazując na otwarte okno, za którem rzęsiste krople dżdżu spadały, szeleszcząc, na jesienne kwiaty — praca zaś młodego artysty nie może cię już także interesować, bo ją ukończył i dziś jeszcze opuszcza Zahajce.

Dziewczę przymknęło powieki, a twarz jej pokryła się woskową bladością.

— Dziwnem ci się pewno wydaje, że dość długim wstępem poprzedzam to, co chciałam ci powiedzieć — mówiła dalej księżna, spostrzegłszy, że Zosia nagle pobladła — lecz, ukochane moje dziecko, chodzi to o twoją przyszłość, która zarysowuje się świetnie... świetniej może, niżbyś wymarzyć mogła...

Zosia milczała.

— Czy się nie domyślasz, jak ważną wiadomość mam się z tobą podzielić?

— Niczego się nie domyślam.

— Jakto?... więc nie zauważyłaś dotąd, jak bardzo jesteś kochaną przez Jerzego? Nie dostrzegłaś, że oddając mu swoją rękę, uczynisz go najszczęśliwszym z ludzi?

— Jerzy mnie nie kocha... i ja nie kocham hrabiego Jerzego — szepnęło dziewczę spokojnie i stanowczo.

Księżna stała chwilę milcząca, jakby piorunem rażona.

— Nie kochasz Jerzego?

— Nie, pani i dobrodziejko moja.

— Ależ on cię ubóstwia... i tylko o tobie myśli! Jedynem jego marzeniem jest dać ci nazwisko Wielogrodzkich, które tak wysoko cenimy... które, jak wiesz, jest jednem z pierwszych w Polsce. Celem mojego życia było wasze małżeństwo. Jako żona mego synowca połączysz się z nami na zawsze... zacieśnisz węzeł serdeczny, jakim związaliśmy się z tobą... tak ja, jak i mój brat, ksiądz Wielogrodzki. Odpychając zaś moją prośbę.. przyznaj... składasz dowód niewdzięczności za naszą życzliwość, niemal rodzicielską, za nasze starania i opiekę, jakiemi otoczyliśmy cię oboje.

(Dokończenie nastąpi).



Zamierzony wyjazd cesarza Franciszka Józefa do Rzymu: Hrabia Gołuchowski (2 z rzędu z lewej strony) zwiedza wraz z ministrem Tittonim (3 z lewej strony) i urzędnikami dyplomatycznymi Wenecyę.

Zamierzony wyjazd ces. Franciszka Józefa do Rzymu.

Z początkiem maja odbył się w Wenecyi zjazd ministra spraw zagranicznych, hr. Gołuchowskiego z włoskim ministrem spraw zagranicznych Tittonim. Przyjęcie było nadzwyczaj wspaniałe i serdeczne, tak, że zjazd ten potwierdził — iż stosunki między temi państwami są naprawdę jak najlepsze. Wrażenie takie musieliśmy odebrać tem bardziej, że nie dawno, wskutek przeniesienia kilku batalionów strzelców z Galicyi do Tyrolu, w umysłach wszystkich zrodziła się obawa, że może z Włochami przyjść do konfliktu i że stosunki są nadzwyczaj z nimi naprężone.

Celem zjazdu obu ministrów miało być omówienie projektu przyjazdu cesarza Franciszka Józefa do Rzymu, w celu złożenia wizyty królowi włoskiemu.

Zamierzona wizyta cesarza austryackiego w Rzymie jest istotnie „wielką nowiną" — i to nie ze względu na stosunek Austro-Węgier z Włochami, ale ze względu na stosunek pomiędzy papieżem a królem i rządem włoskim, co nie pozostałoby bez wpływu na ukształtowanie się pojęć religijno-politycznych wśród katolików całego świata.

W jesieni ma na pewno cesarz Franciszek Józef odbyć podróż do Rzymu i zrewizytować w stolicy Włoch króla Wiktora Emanuela. Wizytę taką powinien był ze względu na grzeczność oddać Franciszek Józef już wcześniej, ale rokowania dyplomatyczne ze Stolicą Apostolską odwlekły wyjazd do Rzymu do jesieni b. r. Albowiem wiadomo, że od roku 1870 istnieje zatarg między papieżem — a władcami świeckimi Włoch o panowanie w Rzymie, a obecne zgodzenie się Stolicy Apostolskiej na przyjazd Franciszka Józefa do Kwirynału jest uznaniem Rzymu jako stolicy świeckiego władcy przez mocarstwo ściśle katolickie, jakiem są Austro-Węgry.

Przypomnąć sobie musimy, że Pius IX i Leon XIII zagrozili klątwą tym z monarchów państw katolickich, którzyby przyjeżdżali do Rzymu jako do stolicy świeckiej Włoch.

Obecny papież, Pius X, zdaje się zmieniać pod tym względem swe przekonania, o czem najlepiej świadczyło, że Pius X sam układał wszystkie szczegóły wizyty cesarza u króla włoskiego.

Rycina nasza przedstawia hr. Gołuchowskiego z ministrem Tittonim, zwiedzających wspólnie Wenecyę.



Powstańcy macedońscy: Przemycanie broni dla powstańców macedońskich: Złapany przez policyę turecką przemytnik z bronią, ukrytą w płaszczu.

Powstańcy macedońscy.

Macedonia — to kraj, gdzie nigdy walka z najeźdźcami nie ustaje, gdzie wiecznie toczy się bój z dziką hordą muzułmańską, która na krainę, niegdyś wolną, nałożyła kajdany, a ucisk wywiera w sposób najbezwzględniejszy i najokrutniejszy.

I rokrocznie z wiosną dochodzą do nas wieści, że na Bałkanie gotuje się znowu coś nowego, że zamierzony jest znowu wybuch walki zbrojnej przeciw najeźdźcom. Niepokoje przybierały tam już takie rozmiary, że w końcu musiały się wdać w panujące tam stosunki mocarstwa europejskie i groźbą zmusiły Turcyę do przeprowadzenia pewnych reform, najkonieczniejszych dla strzeżenia porządku i spokoju i ustanowiły międzynarodową żandarmeryę.

Ale Macedończycy, którzy odczuli na sobie wszystkie bezprawia i gwałty Turków, nie dali za wygraną. Organizują się coraz nowe bandy powstańcze, które napadają na osady tureckie, a, korzystając z górzystego terenu, umią długo się opierać wysłanym przeciw nim wojskom. Choć stracono już setki przywódców powstańczych – nie wytępiono wśród nich myśli o odwecie i ustawicznie przygotowują się Macedończycy do nowych walk w celu zupełnego wyzwolenia się z pod przemocy tureckiej.

Charakterystyczną jest rzeczą przemycanie karabinów dla oddziałów powstańczych. Jak to widzimy na załączonej obok rycinie, Macedończycy ukrywają karabiny na grzbiecie pod odzieniem, sięgającym kolan, a podobnem do naszej chłopskiej sukmany. W ukrywaniu, przenoszeniu i przemycaniu broni doszli do takiej wprawy, że nawet najbardziej policyjne środki nie są w stanie odkryć sposobów zbrojenia się powstańców macedońskich i temu zapobiedz.

Rycina nasza przedstawia jednego z powstańców, przychwyconego przez żandarmów na przemycaniu broni i karabinów.



Straszna śmierć zbrodniarza: Żandarm Piracki, który w obronie własnego życia przebił bagnetem Grębowca.

Straszna śmierć zbrodniarza.

Trudno przyjąć za prawdę przewrotny dogmat heretycki o przeznaczeniu człowieka, gdyż wiemy, że, wedle świętej nauki Kościoła katolickiego, każdy człowiek obdarzony jest wolną wolą i ma również wolny wybór między złem, a dobrem, a tem samem jest sam dla siebie kierownikiem swych losów. Pomimo to jednak, patrząc na niektóre wynaturzone indywidua, wpadające z jednego występku w drugi – z jednej zbrodni w drugą, mimowoli przychodzi na myśl, że występnych, a nieraz nieszczęśliwych ludzi ściga jakaś

nieubłagana fatalność — nie pozwalająca im wrócić do naturalnych warunków życia. Bez kwestyi jest w życiu tych ludzi i fatalizm i przeznaczenie — w innem jednak rozumieniu, jak niektórzy „przeznaczenie“ pojmują. Przyczyną tą jest obciążenie dziedziczne, złe wychowanie i fatalne wpływy niecnego otoczenia, wśród którego ludzie ci wzrastają.

Za przykład takiego rozbestwienia, takiego rozhukania zbrodniczych namiętności — posłużyć może życie i śmierć opryszka z Tarnobrzegu — niejakiego Stacha Grębowca, który znalazł smutny, a zasłużony swój koniec z ręki żandarma. Grębowiec był od lat wielu postrachem całej okolicy. Pijak i zuchwały napastnik niepokoił często spokojnych mieszkańców miasteczka, dopuszczając się rozlicznych przestępstw, karany niezliczone razy za krwawe bójki, kradzieże i rozboje.

W nocy z dnia 6 na 7 maja, Stach Grębowiec — dostał jakby jakiejś zwierzęcej furyi zbrodniczej. Szereg sprawek rozpoczął wieczoru tego od wtargnięcia do domu jednego z urzędników. Przepłoszony jednak rewolwerem przez czuwającego gospodarza, umknął. Niezrażony niepowodzeniem, uzbroił się w olbrzymi drąg i napadł na czaty w rowie przy gościńcu, czekając na nowe ofiary. Niezadługo rozległ się turkot wózka na drodze i w nocnym mroku zamajaczyła na bryczce postać miejskiego lekarza p. Verständiga. Opryszek miał do niego wielką urazę. Oto pewnemu człowiekowi, pobitemu przez Grębowca — wystawił dr Verständig świadectwo, stwierdzające ciężkie uszkodzenia cielesne — wskutek czego Grębowiec odsiedzieć musiał karę więzienia przez 4 miesiące. Zbój przypomniał znać sobie o tem, bo wyskoczył ze swej kryjówki i potężnym kołem zamierzył się w głowę lekarza. Ale woźnica zaciął w tej chwili konie i p. Verständig uszedł szczęśliwie śmierci. Te ciągłe niepowodzenia — zamiast opamiętać zatwardziałego zbrodniarza, podnieciły jeszcze bar-



Straszna śmierć zbrodniarza: Restaurator Brand, w którego lokalu rozegrał się dramat Grębowca.

dziej jego namiętności. Nie dając wcale za wygraną, udał się na dworzec kolejowy i wpadł do mieszkania restauratora, niejakiego Pinkusa Branda. Tu, potrząsając straszną swą maczugą, krzyczał, że wymorduje całą tę żydowską rodzinę. Stan kompletnego upicia i wcale nie dwuznaczne zachowanie się łotra — nie dopuszczały najmniejszej wątpliwości, że plan swój wykona. Arendarz, nie czekając na skutki gróźb napastnika, rzucił się na niego i powalił go na ziemię. Zaczęła się straszna walka — na życie i śmierć. Brand mocował się na ziemi z Grębowcem, który używał wszelkich rozpaczliwych wysiłków, celem wydobycia się z duszących uścisków atletycznego żyda. Gryzł zębami ręce Branda, kopał go w brzuch i bił głową w piersi. Brand nie wypuszczał z swych rąk ofiary i polecił domownikom, by natychmiast zawezwali żandarmeryę. Niezadługo przypędził na rowerze żandarm Piracki i dopiero przy pomocy domowników i sąsiadów żyda — udało mu się założyć zbrodniarzowi kajdanki na ręce. Nie na tem jednak koniec dramatu majowej nocy. Lżąc i stawiając zacięty opór rzucił się Grębowiec na żandarma — wzniósł zakute w żelazo ręce i — uderzył go z całą siłą łańcuchami w głowę. Zachwiał się żandarm, ale broniąc swoje własne, jak i obecnych życie, porwał za bagnet i pchnął ostrze w zbrodniarza, w widocznym zamiarze ubezwładnienia go. Lecz ostrze bagnetu, skierowane w nogi — utkwiło na nieszczęście dla zbrodniarza — w brzuchu jego. Stach Grębowiec z przeraźliwym krzykiem zwalił się na ziemię. Przeniesiony do szpitala, zakończył w godzinę niecne swoje życie. Obdukcya wykazała, że bezpośrednią przyczyną śmierci było przebicie pęcherza i głównej krwionośnej arteryi. Rycina nasza przedstawia obok podobizny opryszka — chwilę, kiedy żandarm w obronie własnego życia przebija Stacha Grębowca bagnetem.

Obok podajemy również podobiznę żandarma Pirackiego i restauratora Branda.



Walka o niepodległość Krety: Oddział międzynarodowej armii dla strzeżenia spokoju na Krecie.

Walka o niepodległość Krety.

Przed miesiącem prawie wybuchły na Krecie zbrojne zaburzenia tamtejszej ludności — która z bronią w ręku postanowiła wywalczyć sobie niepodległość i przyłączenie do macierzystego kraju: Grecyi. Wyzwoliwszy się z pod przemocy Turków, których jarzma nie chcieli znosić, otrzymali Kreteńczycy względną niezależność i wolność, ale politycznie nie zostali wcieleni do Grecyi, lecz jako niezawisły kraj pozostawali pod patronatem komisyi międzynarodowej, Dla utrzymania spokoju i porządku na Krecie, musieli Kreteńczycy utrzymywać wojska państw europejskich, a więc wojska angielskie, francuskie, włoskie i rosyjskie. Ta międzynarodowa armia, narzucona wolnym Kreteńczykom, utrzymywana w ich kraju za ich własne pieniądze, miała być kiedyś przeciw nim użytą, jeśliby chcieli zakłócić spokój, przywrócony przez mocarstwa europejskie i porwać się znowu do zbrojnego powstania.

Ale zanadto silną była u nich miłość ojczyzny i zanadto wielkie przywiązanie do kraju ojczystego, z którym związała ich tradycya i historya — żeby nie odważyli się, mimo gróźb mocarstw europejskich, znowu na walkę o niepodległość całkowitą Krety.

Tak mali liczebnie — ale pamiętali, że należą do narodu bohaterów, do narodu, który umiał piersiami garstki mężnych odpierać tysiączne hufce Persów w Termopylach.

Wojska międzynarodowe i obecnie dopuściły się niejednego gwałtu na walczących o wolność Kreteńczykach, ale mogą być pewni, że jeśli stać będą przy sztandarze wolności nieugięci i gotowi do największych poświęceń — to komisya międzynarodowa będzie musiała uledz potężnej i jednomyślnej woli narodowej i zgodzić się na przyłączenie Krety do Grecyi, któremu na przeszkodzie stoją



Straszna śmierć zbrodniarza: Grębowiec ginie z ręki żandarma Pirackiego. U góry podobizna Grębowca.

nic nie znaczące wobec woli narodu względy dyplomatyczne.

Rycina nasza przedstawia oddział międzynarodowej armii, stojącej załogą na Krecie.

Pierwszy projekt pomnika Słowackiego.

Na lwowskiej wystawie Sztuk pięknych w gmachu Muzeum przemysłowego wystawiony jest od dni kilku projekt na pomnik Juliusza Słowackiego, wykonany przez znakomitego artystę naszego dramatu i artystę-rzeźbiarza p. Józefa Chmielińskiego.

Już na samym początku podnieść należy, że jest to pierwszy wykonany projekt na pomnik tego wieszcza, bo — o ile nam wiadomo — dotąd żadnego projektu nie było, a przynajmniej żaden nie został wykonany. Z tego już względu, jak nie mniej ze względu na wielką wartość artystyczną samej kompozycyi, zasługuje to piękne dzieło na omówienie.

Na wysokiej skale stoi Słowacki „jako posąg człowieka na posągu świata“. Postać wieszcza pod każdym względem udatna, rysy twarzy uderzająco podobne, ściśle według najlepszych portretów.

U stóp skały, na froncie Lilla Weneda, uosobienie poświęcenia, miłości i poezyi. Postać pięknej kobiety w pozycyi siedzącej. Gra na złotostrunnej harfie, zasłuchana w swą pieśń cudowną, którą uspokaja syczące węże, wydobywające się ze szczelin skalnych.

Na lewo od niej ksiądz Marek, symbol wyrzeczenia się grzechów naszych. Jedną nogą oparty o otwartą trumnę, z której wyjął goleń trupa i ciska nią w tłum kościelny „ręko podła, idź do piekła“...

Po stronie przeciwnej Kordyan (z aktu III. w lochach podziemnych), symbol zapału i szczerości w uczuciach patryotycznych, zdarł maskę z twarzy po słowach:

— „idźcie! gardzę wami!
„Kto nie śmiał się poświęcić, może zdradę knuje,
„Więc na znak wzgardy, ludziom okrytym maskami
„Rzucam pod nogi życie moje — i daruję —

W twarzy bohatera maluje się ból tragiczny, a zarazem siła desperata...

Na prawo od Kordyana Roza Weneda, symbol wyzwolenia, trzyma w ręku łańcuch, którym przed spaleniem na stosie skrępowani byli Lelum i Polelum i mówi do Lecha: „Patrz! co zostało z twoich niewolników“...

Oto najkrótsza „treść“ pięknego dzieła, o którym wielu znawców wyraża się z nadzwyczajnem uznaniem. Figury — jak widzimy — wzięte są z najlepszych dramatów wieszcza i przedstawione w chwili najbardziej dla nich charakterystycznej. Działała tu nietylko intuicya artystyczna, ale i olbrzymia inteligencya twórcy, który jako długoletni pierwszorzędny aktor miał dużo sposobności, by się wżyć w ducha genialnego poety i wniknąć w myśl jego. To też postaci jego pomnika są piękne tą szczerością i prawdą, która znamionuje wielkie dzieła, są pięknem i trafnem ucieleśnieniem wzniosłych myśli poety i świadczą o nader subtelnym guście artysty, który te właśnie a nie inne figury wybrał, ażeby godnie reprezentowały całość poetycznego dorobku Słowackiego.

Jest to wielka zasługa p. Chmielińskiego, że on pierwszy wystąpił z projektem na pomnik, o którym się tyle mówi i pisze, a którego się nie widzi. Nareszcie jest coś do zobaczenia.

* * *

Projekt na pomnik nieśmiertelnego twórcy „Króla Ducha“ wyszedł z pod dłuta artysty w samą porę. Dziś zwłaszcza kiedy na horyzoncie naszej poezyi gwiazda geniuszu Słowackiego zabłysła w całej pełni i goreje niezmąconą potęgą blasków i siły, powita ten projekt całe społeczeństwo polskie z żywem uznaniem, z wdzięcznością dla twórcy. Stawiamy dzisiaj pomniki nawet mniej zasłużonym filarom pewnych klik społecznych, a nie zdobyliśmy się ani na jeden pomnik dla piewcy „Ojca zadżumionych“. Pozostał on dla nas obcy, nieznany, wielki, ale nie nasz, promieniejący blaskiem najczystszej poezyi, ale jakby niezrozumiały, jakby on nie był synem naszej ziemi, jakby jego lutni złotostrunnej nie nastrajały czary tej ziemi do czarującego duszę śpiewu.

I powstali młodzi i podnieśli wzrok w górę i dusze im wziął Słowacki. Na arkan je wziął, przykuł do siebie i dopiero wtedy poznaliśmy, że jest na naszem niebie słońce, nie mniej jasne i niemniej gorące od słońc Mickiewicza i Krasickiego.

Słowacki przeczuł duchem teraźniejszość i wiedział, że dopiero po jego śmierci, w lat kilkadziesiąt, przyjdą ci, co go potrafią zrozumieć i ocenić. On wiecznie młody i wiecznie zapaleniec, żyjący jeno ideałami i fantazyą geniusza, wiedział, że przyjdzie czas, kiedy młodzież go uzna za proroka i na Parnasie polskim należne przyzna mu miejsce.

Czas ten nadszedł właśnie, cała młoda literatura wykwitła wbujny, odurzający wonią kwiat,



Pierwszy projekt pomnika Słowackiego: Widok pomnika od frontu. Fot. T. Bahrynowicz. Lwów.



Pierwszy projekt pomnika Słowackiego: Twórca projektu p. Józef Chmieliński.

ale znać na nim tchnienie harfy Słowackiego, widać, że kwiat ten wyrósł pod ciepłem słonecznej jego pieśni, na glebie, przezeń w posiadanie objętej.

I jeżeli kiedy, to dzisiaj nadszedł czas, abyśmy go uczcili pomnikiem, a pomnikiem nie banalnym, nie modelowanym na modłę martwych posągów, ale wielkim, zrodzonym w twórczej myśli wielkiego artysty, który zdołał wczuć się w zaczarowaną pieśń Słowackiego i dać nam jego pomnik mówiący do nas każdym odłamem granitu, biorący dusze nasze w posiadanie. Pomnik Słowackiego powinien być miły i wdzięczny dla oka, jak jego pieśń, żywy i targający za duszę, jak jego pieśń, mówiący do nas głębią wytężonej myśli, jak jego pieśń.

Prochy Słowackiego do dziś dnia w obcej spoczywają ziemi, zdala od ojczyzny, tak drogiej sercu poety.

I czynią się dzisiaj gorączkowe zabiegi, zbierają się składki, aby zwłoki jego sprowadzić i pochować obok królów naszych, na Wawelu, bo tam mu się miejsce należy.|

Niechże społeczeństwo nasze postara się o to, aby tę uroczystą chwilę, kiedy zwłoki Słowackiego otrzymamy napowrót i pochowamy na Wawelu, uczcić postawieniem mu pomnika.

Będzie to hołd dla mistrza słowa, oddany wprawdzie późno, ale w chwili, kiedy naród cały myśleć będzie o Słowackim, kiedy prochy jego będziemy mieli na naszej ziemi, wśród nas.

Projekt pomnika pomysłu p. Chmielińskiego odpowiada najzupełniej wymogom nawet najbardziej wyszukanym. Bije zeń siła i zrozumienie. Figura wieszcza ma w sobie ten tajemniczy majestat, który nas zmusza do uchylenia kornie głowy przed jego potęgą, ma w sobie ten płomień wielkości, z którego Słowacki krzesał błyskawice swoich pieśni.

Czekamy tej uroczystej chwili z naprężeniem. Czekamy, kiedy nadejdzie on dzień, w którym Zygmunt światu wszemu ogłosi, że ten, co tak Ojczyznę miłował, który ją w tak cudnych pieśniach wyśpiewał, wrócił pomiędzy nas, niosąc z sobą słoneczność i jasność.

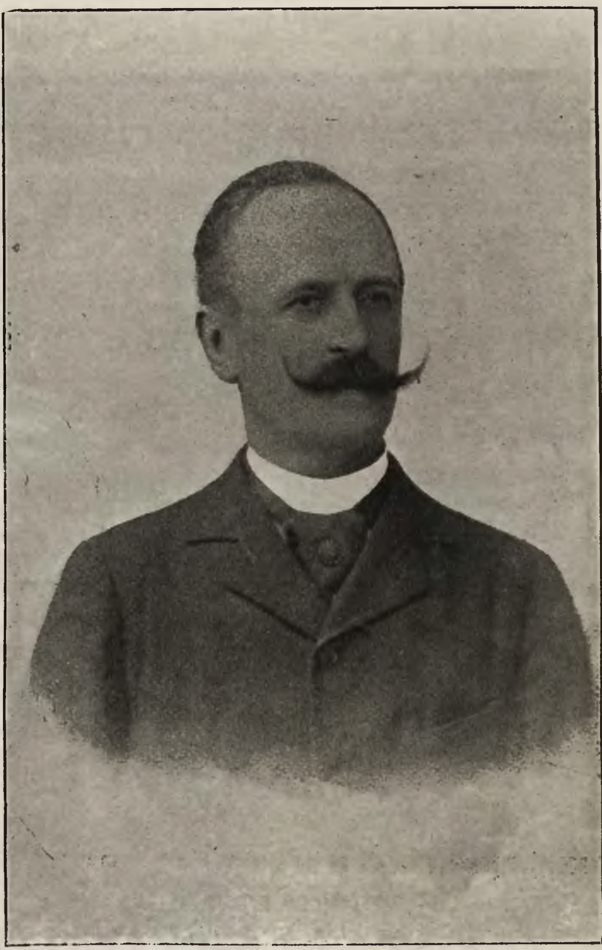
Zapomniany jubilat.

Prócz artystów pierwszego, drugiego i ostatniego rzędu, rozporządza każdy teatr całym zastępem pomocniczego personalu, w skład którego wchodzą: maszyniści, dekorator, inspicyent, krawiec ze swoją czeladzią, fryzyer z pomocnikami – nie licząc personalu administracyjnego i kancelaryjnego. Teatr jest więc, jak widzimy, olbrzymią maszyną, złożoną z najróżnorodniejszych kół i kółek, które jednak dopiero przy zgodnem współdziałaniu osiągają swój cel i efekt: dostarczanie wzniosłych, szlachetnych wrażeń publiczności. Że tak jest istotnie, że w osiągnięciu tego celu ponoszą zasługę wszystkie kategorye pracowników scenicznych – mamy najlepszy dowód w powodzeniu niektórych sztuk bez treści i sensu — obliczonych tylko na olśnienie publiczności efektami dekoracyjnymi i kostyumowymi. Owe wszystkie „baśnie uscenizowane“ w guście „Szklanych gór“ lub „Cud-Dziewic“, owe fantastyczne widowiska dla dzieci, jak „Tomcio Paluch“ „Kopciuszek“ — i tysiące innych, utrzymuje się na repertuarze nie dzięki zaletom literackim, których wcale nie posiadają, ani dzięki grze artystów, którym autorowie tego rodzaju elukubretów nie dają zazwyczaj żadnego pola do popisu. Właściwymi bohaterami takich „wieczorów“ są: dekorator, elektrotechnik i kostyumer. Nie zapominajmy i o tem, że i w poważnych sztukach i współdziałanie tych cichych, zapoznawanych częstokroć pracowników sceny — jest niezbędną. Mówimy zapoznawanych i zapominanych, bo publiczność nie wtajemniczona w technikę teatralną — nie wie prawie o nich, a kierownicy scen zazwyczaj wiedzieć nie chcą, traktując ich nie lepiej od statystów i służby.

Jaskrawy dowód krzyczącej takiej niesprawiedliwości – przedstawia zasłużony dla sceny polskiej, w szczególności zaś krakowskiej — szatny i kostyumer teatru naszego, Ludwik Rozwadowicz. Obdarzony niepospolitem fachowem uzdolnieniem – wyszkolony na wybornych wzorach za granicą — pracuje Rozwadowicz bez przerwy przez lat 30 jako kostyumer na scenie krakowskiej.

Urodzony w r. 1852, odbył w młodości swej praktykę zawodową w pierwszorzędnej w owe czasy pracowni krawieckiej Wilczyńskiego w Krakowie. Następnie wstąpił do wojska, a stacyonowany przy 13 pułku w Wiedniu — objął kierownictwo pracowni mundurów wojskowych, studyując w wolnych chwilach kostyumologię w teatrze Burgu i Opery ces. — W roku 1875 widzimy go już na stanowisku szatnego i kostyumera teatru krakowskiego. Tu przetrwał kolejno dyrekcye Józefa Rychtera i St. Koźmiana, następnie J. Glicksona, Tad. Pawlikowskiego i ostatnią J. Kotarbińskiego. Pomimo wielkich zasług około krakowskiej sceny — ustępujący dyrektor nie uważał za stosowne uczcić jubitata benefisowem przedstawieniem, pomimo licznych starań, czynionych u niego przez postronne osoby. Mamy nadzieję, że następca pana Kotarbińskiego, pod którego komendę przejdzie zapewne p. Rozwadowicz — zechce złe wynagrodzić zasłużonemu, a cichemu pracownikowi sceny polskiej.

P. Rozwadowicz jest dzisiaj mężczyzną w pełni sił i zdrowia, mamy też nadzieję, że długie lata pracować będzie w teatrze, służąc narodowej sztuce jako pracownik cichy, zwykle zapoznawany. Jubileusz, jaki teraz obchodzi, wyrazy uznania, których mu nie szczędzi nikt ze znających się na trudnościach pracy kostyumerskiej, będą dla p. Rozwadowicza zachętą do dalszej pracy. Szczęść Boże!



Zapomniany jubilat: Ludwik Rozwadowicz, szatny i kostyumer teatru miejskiego w Krakowie.



Fot. T. Bahrynowicz. Lwów.
Pierwszy projekt pomnika Słowackiego: Boczne figury, stojące u podstawy pomnika.



Fot. T. Bahrynowicz. Lwów.
Pierwszy projekt pomnika Słowackiego: Boczne figury, stojące u podstawy pomnika.



Senzacyjna powieść osnuta na tle pamiętników tajnego detektywa.

Z rosyjskiego przełożył

A. S.

11 Ciąg dalszy.

Wiera nie wiedziała nic o zbrodni, popełnionej na Borysie, bo bawiła wówczas w Petersburgu. Trybunał pozwolił jej zatem powrócić do domu — i podczas dwu ostatnich dni rozprawy nie miała potrzeby pokazywać się w gmachu sądowym.

Włodzimierz Bohdan z ciężkiem sercem składał zeznania przed sądem. Czuł, że one potępiają ojca jego ukochanej, ale nie mógł inaczej postąpić. Spełnił swój obowiązek i dokładnie opowiedział, co go spotkało w ustronnej gospodzie Lubasza i jakie sam poczynił odkrycia.

W całej sali nie było nikogo, któryby nie spoglądał ze wstrętem i odrazą na zbrodniczego starca i ktoby się litował nad nim. A Wasyl Lubasz, jak zwierz, osadzony w klatce, rzucał się i ciskał w koło groźne spojrzenia.

Lecz chociaż robił wszystko, aby się uniewinnić, nic nie pomogło. Po trzech dniach zapadł wyrok.

Zatwardziałego zbrodniarza skazano na śmierć przez powieszenie. Gdy ogłoszono mu wyrok, dziki krzyk bezdennej rozpaczy wydarł się z jego piersi i padł, jak martwy, na ziemię. Dozorcy więzienni musieli go na rękach odnieść do kaźni. Włodzimierz, który widział tę ostatnią scenę, dziękował w duszy Bogu, że biedna Wiera nie była przy niej obecną.

Młody detektyw czuł, że jeszcze nie spełnił wszystkiego, że w ciężkiem zadaniu, które przyjął na swoje barki, pozostała jeszcze luka, ale miał nadzieję, że zdoła wyjść zwycięsko z tej walki — jaką miał jeszcze stoczyć z upartym zbrodniarzem.

A Wasyl Lubasz leżał w swej celi pod czujnem okiem dozorców i czekał na zatwierdzenie wyroku.

Długo jednak czekać nie potrzebował. Jeszcze raz wezwano go, aby wyznał szczerą prawdę, aby przestał zapierać się i powiedział — gdzie wraz z Iwanem pogrzebał zamordowanego Borysa Jaroszyna, ale zbrodniarz groźnie zmierzył błyszczącemi oczyma urzędników.

— Jestem niewinny! — krzyknął zapalczywie, tłukąc pięściami w twardą pryczę — nie możecie mnie stracić, bo to Iwan Trepow popełnił tę zbrodnię...

Urzędnicy w milczeniu opuścili celę skazanego.

W czterdzieści ośm godzin później, z kancelaryi dworskiej nadeszło pismo do sądu. Car zatwierdził wyrok trybunału.

Skazaniec otrzymał jednak łaskę. Wyrok miał być wykonany dopiero po dwóch dniach na olbrzymim podworcu więziennego gmachu.

Aż do ostatniej chwili zbrodniarz żył jeszcze nadzieją, że jakiś niespodziany wypadek uratuje go od śmierci.

Za najmniejszym szmerem na korytarzu dźwigał się z pryczy i czołgał ku drzwiom, aby posłyszeć, co się tam dzieje.

Ale najczęściej był to dozorca, który, otworzywszy małe, zakratowane okienko w drzwiach, zaglądał do kaźni skazańca, potem odchodził — nie troszcząc się o to, co działo się w duszy zbrodniarza.

Nadszedł wreszcie ostatni wieczór w życiu Wasyla Lubasza. Zbrodniarz, dysząc ciężko, leżał na pryczy w rogu kaźni.

Na nogach miał ciężkie kajdany, które na długim łańcuchu przymocowano do ściany.

W rosyjskich więzieniach kajdany takie zakładają skazanym na śmierć zbrodniarzom.

Oprócz tego dozorcy więzienni czuwali nad nim bez przestanku.

Przez małe, wąskie okienko, silnie zakratowane, wpadała do kaźni mała smuga światła.

Powoli jednak w celi robiło się coraz ciemniej, aż wreszcie czarna noc otoczyła skazańca. To były dlań najcięższe godziny. Bał się ciemności i tych widm, które go wówczas dręczyły.

I nagle wstrząsnął się, aż łańcuchy zadźwięczały.

Zdawało mu się, że od strony drzwi idą ku niemu wysokie postacie i wyciągają ręce, aby go udusić.

Poznał nawet twarz jednej z nich, twarz bladą, ocienioną czarną, bujną brodą, po której z wielkiej rany na czole — sączyła się krew szeroką strugą...

A tę ranę zadała siekiera Iwana...

Skazaniec krzyknął przeraźliwie i z głuchym łoskotem stoczył się z pryczy na podłogę.

W tej chwili otworzyły się drzwi i promień światła wpadł do kaźni.

Starzec podniósł się i błędnym wzrokiem spojrzał dokoła. Trząsł się cały, jak liść osiki i zimny pot oblewał mu czoło.

To pewnie kaci przyszli po niego! Chcą go już w nocy powiesić! Żałują mu jeszcze tych kilku godzin życia, jakie pozostały mu do rana...

Do celi wszedł cicho Włodzimierz Bohdan. Zamienił kilka słów z dozorcą, który otworzył kaźnię i dozorca usunął się natychmiast, pozostawiając latarkę na małej ławce — stojącej w rogu celi.

— Poznajesz mnie, Wasylu Lubasz? — zapytał detektyw, podchodząc zwolna do skazańca.

Starzec uczynił ręką gest odpychający.

— Czego wy chcecie odemnie?—jęknął i spuścił wzrok ku ziemi, spoglądając tylko od czasu do czasu z podełba na Włodzimierza.

— Przyszedłem pomówić jeszcze z tobą o jednej bardzo ważnej rzeczy! Posłuchaj mnie, Wasylu Lubasz! — odparł młody detektyw.

I to mówiąc, przysunął sobie stołek, poczem siadł tuż naprzeciwko skazańca, który leżał na pryczy.

— Masz pan dla mnie jaki ratunek?—szepnął starzec — to mów, jeśli zaś nie, to zostaw mnie w spokoju. Ty i Wiera, moje rodzone dziecko, ukręciliście stryczek na moją starą szyję...

Lubasz, wymawiając imię córki, wstrząsnął się i ukrył twarz w dłoniach

— I że też ona mogła coś podobnego zrobić!—jęknął z boleścią—ona, Wiera, moje jedyne i najukochańsze dziecko, dla którego byłbym zawsze wszystko poświęcił!... Ona własnego ojca zaprowadziła na szubienicę!...

Zacisnął pięści i nagle krzyknął chrapliwym głosem:

— Ale ona nigdy w życiu nie zapomni o tem! Ona nigdy w życiu nie zazna pociechy, ni spokoju! Ja nawet nie potrzebuję jej przeklinać, bo klątwa sama zrodziła się i zawisła nad nią! A do tego ty ją skłoniłeś, ty potępieńcze! Ty, który aby zarobić trochę złota, jak ogar, tropiłeś za nami i póty nie spocząłeś, póki nie dostałeś nas w swe ręce. I po co ty teraz tu przychodzisz? Czy może chcesz sobie jeszcze drwić i szydzić ze mnie?!...

Starzec umilkł i nastała długa chwila ciszy.

Włodzimierz ze wzruszeniem spoglądał na skazańca.

— Zaślepiony jesteś, Wasylu Lubasz — rzekł wreszcie z powagą — i dlatego znów wyrządzasz krzywdę zarówno mnie, jak i swojemu dziecku! Każda zbrodnia wymaga kary! Wspomnij sobie na biednego Borysa Jaroszyna! On przecież nie był twoim nieprzyjacielem, nie był ci wrogiem, gdy wśród burzliwej nocy zapukał do twej gospody i prosił o nocleg! Jego złoto skusiło cię i zostałeś mordercą! A tu, w Petersburgu, pełna troski i niepokoju, czekała jego żona... Mnie powierzono zbadanie tego tajemniczego zgonu Jaroszyna i ja musiałem spełnić swój obowiązek... A swojej córki powinieneś żałować, powinieneś płakać nad nią, a nie ścigać jej gniewem i klątwą wówczas, gdy stoisz już nad otwartym grobem!...

Włodzimierz odetchnął głęboko i po chwili mówił dalej:

— A czy ty wiesz, ile to dziewczę wycierpiało, kiedyś przybył tu do stolicy z tym twoim kompanionem i przemocą uwiózł ją do swej gospody? Już tu, w Petersburgu, zaczęły się jej cierpienia! Posłuchaj tylko:

Aby uniknąć małżeństwa ze znienawidzonym przez się Iwanem, szukała śmierci w chłodnych falach Newy i gdybym ja był w czas nie nadszedł, byłaby przeprowadziła swój zamiar...

Wtedy po raz pierwszy widziałem twą córkę, wtedy poznałem ją i pokochałem serdecznie...

I mówię o tem tobie — mordercy, skazanemu na śmierć, który jutro stanie pod szubienicą!

Nie mogłem Wiery zatrzymać przy sobie, bo nie miałem jeszcze nic do zarzucenia ani tobie, ani Iwanowi. Byłeś ojcem, żądałeś wydania córki, ja oddałem ci ją, choć mnie to dużo kosztowało, a wy porwaliście ją i uwieźli ze sobą hen, tam w pustkowie.

Od tego czasu nie miałem spokoju. Myśl o twej córce prześladowała mnie na każdym kroku. Pomyślna gwiazda zabłysła mi, gdy w poszukiwaniach za Borysem Jaroszynem zabłąkałem się do twej gospody. Przyszedłem w dobrej chwili, jak sam zresztą wiesz o tem najlepiej, bo albo twe dziecko padłoby było ofiarą brutalności Iwana, albo też — Wiera sama odebrałaby sobie wówczas życie...

Co dalej zaszło, tego nie potrzebuję opowiadać, bo wiesz to dokładnie, tak, jak ja, albo może nawet dokładniej. Że z życiem uszedłem z twojej gospody, że przynajmniej twe dziecię wyrwałem z tej jaskini zbrodni, to było już tylko zrządzeniem Opatrzności!...

A teraz uderz się w piersi, Wasylu Lubasz, padnij na kolana i sam osądź twą niesprawiedli-

wość! Twoja córka, to święta, która może więcej wycierpiała, jak nie jedna męczennica. Płakać powinieneś nad nią, a nie przeklinać i to wówczas, gdy ona jeszcze modli się za ciebie, gdy przebaczyła ci wszystkie krzywdy — jakie jej wyrządziłeś!...

Skazaniec oddychał ciężko, ale złość i nienawiść przebijały się jeszcze w jego twarzy.

Drżącemi rękami odgarnął włosy z czoła i spytał ponuro:

— Gdzie Wiera jest teraz?

— W domu mojej matki, gdzie już znalazła raz na zawsze przytułek i opiekę – brzmiała odpowiedź detektywa.

Starzec zmieszany, zdumiony, utkwił swój wzrok w czarnych źrenicach Włodzimierza.

— Wyście przyjęli do siebie moją córkę? — wyszeptał — córkę człowieka, którego czeka haniebna śmierć na szubienicy?

— Tak, Wasylu Lubasz i wierz mi, że nicbym sobie z tego nie robił, choćby mnie cały świat wytykał palcami!...

Nastała chwila ciszy.

Straszna walka musiała toczyć się w duszy starego zbrodniarza, bo wił się, jak robak, na swojej pryczy.

Włodzimierz podniósł się ze stołka i przystąpił do niego.

— Ty jesteś ojcem Wiery! – rzekł wzruszonym głosem – widzimy się dziś po raz ostatni i żadna siła nie potrafi ochronić cię przed straszną śmiercią, jaką zginiesz o świcie. Przyszedłem, aby jeszcze raz zapytać cię, gdzie są zwłoki tego nieszczęśliwego kupca, którego zamordowałeś wraz z Iwanem w swojej gospodzie?

Starzec potrząsnął głową.

— Zostawcie mnie już w spokoju – szepnął – ja już nie chcę słyszeć o niczem, o niczem!...

I zacisnąwszy kurczowo swe dłonie, utkwił oczy w ziemi.

Włodzimierz cofnął się cokolwiek.

— Więc odchodzę, nie dowiedziawszy się o niczem – odezwał się smutno – niech ci Bóg da siły, Wasylu Lubasz, znieść te męki, jakie cię czekają! Żegnaj!... Czy może masz co powiedzieć twojej córce?

Skazaniec wzruszył ramionami.

— Nic!... nic!... nic!...

— Wiera zostanie moją żoną. Dowiedz się o tem przed swą śmiercią.

Dziki śmiech targnął zmęczoną piersią zbrodniarza.

— Waszą kochanką! chcieliście pewnie powiedzieć!...

Wówczas Włodzimierz podniósł rękę, jak do przysięgi i rzekł z powagą:

— Przysięgam tobie, mordercy, na śmierć już skazanemu, który staniesz niebawem przed boskim sądem, że na córkę twoją spoglądałem zawsze, jak na świętą! Wyjedziemy z Petersburga w głąb kraju, tam, gdzie nikt nas nie zna i gdzie nikt nie będzie mógł opowiadać strasznej historyi Wasyla Lubasza i Iwana Trepowa i tam, w cerkwi ślubem uświęcimy związek dusz naszych! Tam będziemy szukać szczęścia i zapomnienia po przebytych cierpieniach!...

Jutro musisz umrzeć, ale może lżejszą ci ta śmierć będzie, skoro się dowiesz, że tu, na ziemi, zostanie dwoje ludzi, co aż do zgonu modlić się będą za twoją nieszczęśliwą duszę..

Detektyw wziął latarnię do ręki i skierował się ku wyjściu. Chciał dać znak dozorcy, żeby mu drzwi otworzył.

Wtem tuż za nim rozległ się głośny brzęk łańcucha.

— Włodzimierzu! zaczekaj chwilę! — jęknął starzec – zaczekaj! Całą moją duszą przekształciłeś za jednym zamachem! Ja chcę... ja... ja muszę... wyznać ci wszystko!..

Westchnienie ulgi wyrwało się z piersi detektywa. Nakoniec zwycięstwo.

Szybkim krokiem zbliżył się do skazańca i zapytał:

— Chcesz stary, ażebym przywołał tu urzędnika?

A stary Lubasz odpowiedział drżącym głosem:

— Tak, niech przyjdzie. Niech wszystko spisze do protokółu! Dla Wiery, którą wy pojmujecie za żonę, zrobię to, że powiem, co stało się z Borysem Jaroszynem...

Włodzimierz zapukał do drzwi i wydał krótki rozkaz dozorcy.

W dziesięć minut później dwaj wyżsi urzędnicy zjawili się w kaźni, aby wysłuchać zeznań skazańca.

Opowiadanie zgadzało się zupełnie z aktem oskarżenia, jaki wniesiono przeciw Wasylowi Lubaszowi.

Borys Jaroszyn, zabłąkawszy się w nocy, zapukał do gospody na pustkowiu i prosił o przytułek.

Przyjęto go i Iwan pierwszy wystąpił z planem morderstwa.

Wasyl sprzeciwiał się zrazu temu, ale złoto Jaroszyna pokonało jego skrupuły i potrafiło skusić go do tej strasznej zbrodni.

Pułapkę Iwan przygotował był już od dawna, gdy tylko nędza zaczęła zaglądać do gospody.

Ale do tej pory na pustkowiu nie trafił się nikt jeszcze, kogoby opłaciło się uśmiercić.

I cóżby było przyszło z tego Iwanowi, gdyby zamordowali jakiego włóczęgę, lub napół umierającego z głodu chłopa?!...

Borys Jaroszyn był nieoględny i opowiadał wiele o swoich świetnych interesach i pieniądzach, jakie wiózł przy sobie do stolicy.

Położył przytem na stole rewolwer i cieszył się z wystraszonej na pozór miny gospodarza i parobka.



A Wasyl Lubasz leżał w swej celi i czekał na zatwierdzenie wyroku.

A potem zupełnie spokojnie poszedł do izby gościnnej.

Po pewnym czasie, gdy światło zgasło w pokoju kupca, Iwan poszedł i zaczął się dobijać.

Tymczasem Wasyl zeszedł do piwnicy i usunął ową poprzeczną belkę, która podtrzymywała podłogę.

Borys Jaroszyn leżał już w łóżku i rewolwer miał pod poduszką.

Usłyszawszy pukanie, zaklął gniewnie, wyskoczył z łóżka i w tej chwili runął do piwnicy.

Ale nie stracił przytomności, jak Włodzimierz, tylko z całych sił zaczął wołać o pomoc.

A gdy Wasyl, przestraszony, chciał biedz zawołać Iwana — ten sam wpadł rozjuszony do piwnicy.

I wówczas obaj z siekierami rzucili się na biednego kupca.

Obaj równocześnie wymierzyli w skroń jego śmiertelne ciosy.

Lubasz wiedział, że kupca nie można było wypuścić żywcem.

Tu skazaniec przerwał swoje opowiadanie.

— A gdzieście podzieli zwłoki zamordowanego? — zapytał jeden z urzędników.

Stary Lubasz odetchnął ciężko i odparł zachrypniętym, drżącym głosem:

— Jeszcze tej samej nocy pogrzebaliśmy je w tej samej piwnicy.

W ten sposób dowiedziano się wszystkiego.

Młody detektyw odetchnął swobodnie.

Pomyślał chwilę, jakie straszne cierpienia, jakie wyrzuty sumienia musiał przechodzić skazaniec owej nocy, w której przy pomocy żandarma wepchnął go do tej samej piwnicy, gdzie o parę stóp pod ziemią spoczywały zwłoki jego ofiary.

A tymczasem siły opuściły starego Lubasza – i jak kłoda zwalił się na twardą pryczę.

Urzędnicy stali już u drzwi kaźni, gdy detektyw jeszcze raz podszedł do skazańca.

— Wasylu Lubasz — rzekł drżącym od wzruszenia głosem – dziękuję ci w imieniu wdowy, która pozostała po zamordowanym, za to ostatnie zeznanie. A teraz umieraj w spokoju, o twoje dziecko ja już do zgonu troszczyć się będę.

I, nie czekając na odpowiedź starca, wyszedł wraz z urzędnikami.

Epilog.

...Nastał szary, chmurny poranek. Gęsta mgła spowiła cały Petersburg tak, że przechodzień o dwa kroki nie był w stanie dostrzedz drugiego przechodnia. Wrząca zawsze życiem i wesołością stolica przybrała tego dnia jakiś dziwnie posępny charakter.

A w małym domku nad brzegiem Newy, w którym mieszkał członek tajnej policyi petersburskiej, Włodzimierz Bohdan, wraz ze swoją staruszką matką, było jeszcze posępniej, jeszcze smutniej, niż na tych mgłą osnutych ulicach.

W parterowych oknach domeczku przez firanki i zapuszczone gęste rolety — widać było światło lampy.

W dużym pokoju, który służył za salon recepcyjny i za jadalnię, było dwie osoby: stara matka Włodzimierza i jej pupilka, Wiera.

Dziewczę całą noc spędziło bezsennie. I jakżeż sen mógł skleić jej powieki, skoro wiedziała, że to ostatnia noc życia jej ojca...

W kącie, na ścianie, wisiał obraz cudownej Matki Boskiej Kazańskiej, pod którym płonęła mała oliwna lampka.

Od szeregu godzin Wiera klęczała przed tym obrazem i słała gorące modły do nieba o zbawienie swego ojca, który, uniesiony żądzą posiadania, ubroczył swe ręce w krwi bliźniego.

A stara pani Bohdan z litością spoglądała na młodą dziewczynę, siedząc w wygodnym, wyściełonym skórą, fotelu. Staruszka także nie myślała udać się na spoczynek.

Ciężka troska malowała się na jej zgrzybiałem obliczu.

Matka Włodzimierza wiedziała teraz dobrze, jak niebezpieczne stanowisko zajmuje jej syn najukochańszy.

Z chwilą, w której dzienniki zaczęły pisać o morderstwie, popełnionem na Borysie Jaroszynie i o aresztowaniu mordercy kupca przez młodego detektywa, Włodzimierz musiał wyznać przed matką, jakie jest jego zajęcie, a biedna staruszka od tej pory nie zaznała już wcale spokoju.

Dreszcz ją przechodził, gdy tylko pomyślała o niebezpieczeństwach, na jakie każdy ajent tajnej policyi musi być wystawionym i powzięła silne postanowienie na kolanach błagać swego syna, aby porzucił ten ryzykowny zawód.

(Dokończenie nastąpi).



Pożar fabryki szpagatu w Podgórzu: Ogólny widok fabryki po pożarze.

Uroczystość szkolna na kresach.

Zarząd tarnopolskiego Koła T. S. L., dokonał w dniu 2 maja zamknięcia roku, a właściwie kursu szkolnego dorocznym popisem dziatwy, uczęszczającej do 8 szkółek, zorganizowanych i utrzymywanych przez tamtejsze Koło T. S. L. a rozmieszczonych w parafii opryłowieckiej. Już wczesnym rankiem o godzinie 5 nastąpił wyjazd delegatów Koła trzema podwodami do Opryłowiec. Po przybyciu na miejsce zastano kościółek opryłowiecki zapełniony po brzegi dziatwą tak, że starsi, zebrani mimo dnia powszedniego w wielkiej ilości musieli zostać na podwórzu kościelnem. Proboszcz opryłowiecki, ks. kanonik Nowobielski odprawił nabożeństwo na intencyę dziatwy i wygłosił zastosowane do okoliczności podniosłe kazanie. Po nabożeństwie dziatwa udała się do lokalu szkółki, gdzie rozpoczął się egzamin w obecności przewodniczącego tarnop. Koła prof. St. Srokowskiego, inspektorów pp. Chmurowicza z Tarnopola i Hartleba ze Zbaraża i delegatów Koła tarnopolskiego. Dziatwa, przybrana w uroczyste stroje, płynnie i jasno odpowiadała na zadawane jej pytania i składała każdą odpowiedzią dowód, że w czytaniu, pisaniu i rachunkach znaczne poczyniła postępy. Nie mniej pięknie wypadł egzamin ze śpiewu; tak patryotyczne, jak i kościelne pieśni wypadły nadzwyczaj dodatnio. Dowód to wysokiego stanu nauki w szkółkach tarnopolskiego Koła T.S.L. które w niczem nie ustępują szkołom publicznym. A gdy zważymy, że warunki, wśród których te szkółki się prowadzą, są trudne ze względu na lokale, nieraz nie odpowiednie, jak i na siły nauczycielskie, po większej części nie fachowe, przyznać musimy, że wynik egzaminu przechodził oczekiwania i pokładane w całej pracy nadzieje. A praca to ciężka i żmudna, za którą tak Zarządowi tarnopolskiego Koła, jak i ks. kan. Nowobielskiemu i ks. katechecie Dankowi szczera należy się podzięka.

Po skończonym egzaminie dziatwa zebrała się przed kościołem, gdzie po gorącem przemówieniu pp. insp. Hartleba i prezesa Srokowskiego, panie Srokowska i Scheiderowa rozdały nagrody: chłopcom Polakom czapki krakuski, a tornistry na książki Rusinom — dziewczątkom zaś krzyżyki na kraśnych wstążkach. Po ukończonej uroczystości rozpoczęła się konferencya z nauczycielami. — Panowie inspektorowie udzielali swych rad i wskazówek, tak zarządowi jak i nauczycielom, poczem nastąpił powrót do Tarnopola.

Illustracya nasza przedstawia grupę dzieci, zebranych przed kościołem w Opryłowicach, oraz zgromadzone na popisie wieśniaczki.



Fot. Pester. Tarnopol.

Uroczystość szkolna na kresach: Grupa dzieci ze szkółek tarnopolskiego Koła Tow. „Szkoły ludowej“ zebrana przed kościołem w Opryłowicach na popisie szkolnym.

Pożar fabryki szpagatu w Podgórzu.

W nocy z d. 10 na 11 b. m. wybuchł wielki pożar we fabryce szpagatu i juty w Podgórzu na Zabłociu. Olbrzymi ogień, widoczny z daleka, sprowadził natychmiast na miejsce pożaru straż miejską z Krakowa, pod osobistem dowództwem naczelnika p. Nowotnego, gdzie zastano już przy gaszeniu straż podgórską oraz wojskowe pogotowie dragonów.

Wielki budynek, zaopatrzony w jak najlepsze maszyny, był jedyną tego rodzaju fabryką na całą Galicyę i zatrudniał przeszło 200 robotników. Wyroby fabryki cieszyły się znacznym popytem nietylko w kraju, ale i zagranicą. Pożar wybuchł z niewiadomej przyczyny i rozszerzył się z niezwykłą szybkością tak, że ogarnął w okamgnieniu całą fabrykę. Całkowicie zostały zniszczone wszystkie urządzenia w hali maszyn, w przędzalni i w hali do czyszczenia lnu. Mimo wysiłku wszystkich straży nie zdołano ognia ugasić — zniszczył on doszczętnie całą fabrykę tak, że pozostały tylko same mury i zgliszcza. Przeszło 200 rodzin robotniczych zostało nagle pozbawionych pracy i chleba! Bank hipoteczny, do którego należała fabryka, otrzyma z krakowskiego Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń, gdzie fabryka była ubezpieczoną, pół miliona koron — a w dzisiejszych czasach, gdy tak trudno o zarobek, pożar fabryki da się we znaki przedewszystkiem biednym rodzinom robotniczym, pozbawionym nieszczęsnym losem nagle pracy. Starostwo podgórskie wydelegowało komisarza dra Stanisława Czyszczana, jako referenta, na miejsce pożaru, aby przeprowadził śledztwo w sprawie wybuchu pożaru.

Ryciny, jakie podajemy w tym numerze, przedstawiają ogólny widok fabryki i halę maszyn po pożarze.



Pożar fabryki szpagatu w Podgórzu: Hala maszyn, zniszczona zupełnie, w godzinę po ugaszeniu ognia.

Nowa opera Żeleńskiego.

Twórca „Goplany“ i „Janka“, znakomity kompozytor p. Władysław Żeleński, zajęty jest obecnie wykończeniem nowej opery. Do napisania tej opery natchnęła kompozytora pełna czaru i poezyi powieść Kraszewskiego, najcelniejsza z jego powieści historycznych, owiana rzeczywiście poezyą borów i puszcz, zalegających dawne ziemie polskie „Stara baśń“. Któż nie zna „Starej Baśni?“ Któż, czytając ją, nie chłonął duszą woni tych kwiatów i żywicznych borów, w jakich cieniu odbywa się akcya powieści? Cały świat, w książce tej zawarty, to kraina oblana złotemi promieniami poezyi i rozmarzenia, to kraina czaru i smętu, w której bory to jakby harfy stostrunne, a jednobrzmiące, w których kwiaty — to jakby oczy wróżek zaklętych — w której ludzie — to jako owi pierwsi w raju rodzice, prości, a szczerzy, silni i pewni, a drżący jeno przed gniewem Pochwista lub straszliwej Niji, śmierć niosącej.

Ten świat oczarował duszę genialnego kompozytora, ten świat, dający się jedynie odczuć, nat-

chnął Żeleńskiego do napisania opery, do przelania tych dźwięków tajemnych, idących od puszcz i opuszczonych gontyn, w melodyę. Świat ten postanowił Żeleński oddać w tonach, w pieśni. Bo inaczej oddać go nie można, niepodobna.

Libretto, zaczerpnięte ze „Starej baśni“ napisał znakomity śpiewak i tłómacz arcydzieł Wagnera, zarazem najwybitniejszy w Europie wykonawca postaci wagnerowskich dramatów, p. Aleksander Bandrowski. Zdaniem kompozytora jest to bardzo szczęśliwie pomyślane i przeprowadzone libretto operowe, mające także niepoślednią wartość literacką.

Znawcy, którzy słyszeli poszczególne ustępy „Starej baśni“, wykonywane na prywatnych zebraniach, twierdzą jednogłośnie, że z nową operą Żeleńskiego przybywa muzyce polskiej nowe dzieło natchnienia, jednoczące polot melodyi i ogromną inwencyę kompozytorską, opartą o grunt wspaniałej harmonizacyi i instrumentacyi. Opera obejmuje



Nowa opera dyr. Żeleńskiego: Aleksander Bandrowski, autor libretta do nowej opery dyr. Żeleńskiego.

4 akty, z których 3 pierwsze są już ukończone. Jak słychać, „Stara baśń“ wystawioną będzie z początkiem przyszłego roku w teatrze lwowsk m.

Podajemy w dzisiejszym numerze podobiznę genialnego kompozytora p. Żeleńskiego i autora libretta do „Starej baśni“ p. Aleksandra Bandrowskiego.

Walka z dżumą.

Niema dzisiaj straszniejszej choroby, jak dżuma, z którą walka jest nadzwyczaj utrudniona i niebezpieczna. Zarazki tej choroby są tak niszczące, że w ciągu kilku godzin pozbawiają człowieka życia. Okolica, w której pojawi się jeden wypadek dżumy, jest już chorobą tą zagrożona, bo szerzy się ona w zastraszający sposób, zabierając setki ofiar.

Szczególnie podatne dla dżumy są kraje gorące. Tam należy ona do zwykłych epidemii, jakie po tych krainach panują. Zważywszy, że ludy tamtejsze, na niskim jeszcze stopniu cywilizacyi stojące, nie znające zdobyczy medycyny ostatnich lat dziesiątków, nie będziemy się dziwić, że ofiarą dżumy padają rok rocznie zwłaszcza w Azyi i w Indyach tysiące ludzi. Od czasu do czasu słychać też o wypadkach pojawienia się dżumy w miastach południowej Rosyi; wieści te, zazwyczaj przesadzone, budzą przerażenie i trwogę w całej Europie. Szczęśliwym trafem, choroba ta do nas nie dochodzi.

Dżuma jest chorobą przenośną, idącą etapami. Zawlekają ją zwykle ze sobą kupcy, których też władze pograniczne poddają zwykle najściślejszej rewizyi sanitarnej. Jeżeli lekarze zbadają, że osobnik jaki podejrzany, że można na nim rozpoznać najmniejsze choćby symptomata tej choroby, wówczas osobnik ten musi przebyć długą, czasem kilka miesięcy trwającą kwarantannę.

Przez ten czas pozostaje pod opieką lekarzy, którzy go nie puszczą w dalszą podróż, dopóki się nie przekonają, że życiu jego, a temsamem życiu tysięcy ludzi, z którymi się może spotkać, nie zagraża już niebezpieczeństwo.



Walka z dżumą: Badanie pielgrzymów, powracających z Mekki, na stacyi pogranicznej w Turcyi.

Szczególnie krwawe żniwo zbiera dżuma wśród mahometańskich ludów, zamieszkujących wschodn. i środkową Azyę. Wiadomo, że każdy prawowierny muzułmanin obowiązany jest przynajmniej raz w życiu odwiedzić świątynię proroka w Mekce. Odbywają się tam ciągłe pielgrzymki, w których biorą udział tysiące wiernych wyznawców Mahometa. Fanatyczni muzułmanie dopuszczają się jednak przytem rzeczy, które stają się nieraz przyczyną i źródłem epidemicznych chorób, między nimi i dżumy.

Zdarzają się np. wypadki, że w tłumie pielgrzymów niosą czasami w trumnie ciało jakiegoś zmarłego dostojnika, którego chcą pochować w ziemi, noszącej jeszcze na sobie ślady stóp proroka. Rzecz naturalna, że trup taki, gnijący coraz bardziej i rozkładający się odrazu od słonecznych promiemi, jest ogniskiem zarazek chorobowych.

Jeżeli więc pielgrzymi idą z tym trupem tysiące mil, to zabójcze zarazki, dobywające się z trupa, rozchodzą się po całej krainie, powodując chorobę, z których najstraszniejszą jest dżuma.

Dżumę zawlekają także bardzo często do Europy okręty, przybywające z portów azyatyckich, gdzie choroba ta grasowała. Okręty takie odbywać także muszą pewnego rodzaju kwarantannę, zanim je przypuszczą do portów europejskich. Na okrętach są zazwyczaj szczury, one to po największej części głównie sprowadzają dżumę do Europy.

Szerzenie się dżumy w pewnej okolicy przypisują również przenoszeniu jej nie tylko przez ludzi, ale i przez zwierzęta, właśnie przez wspomniane wyżej szczury. To też gdy dżuma gdzieś wybuchnie, rząd każe tępić szczury w najstraszniejszy sposób.

Znaną jest np. rzeczą, że gdy przed kilkunastu laty pojawiła się dżuma w Japonii, rząd wyznaczył nagrodę za skórę każdego zabitego szczura.

Zdawałoby się, że ze skórek tych nie będzie już żadnego pożytku. Japończycy jednak, praktyczni jak zawsze i obliczający naprzód wszelkie zajść mogące komplikacye, skorzystali i z tych skórek. Było ich setki tysięcy. Wpadli tedy na pomysł, żeby z nich uszyć dla żołnierzy ciepłe nauszniki, które kiedyś mogą się armii japońskiej przydać. I przydały się, a przydały w obecnie toczącej się wojnie rosyjsko-japońskiej. Korespondenci wojennii nie mogli się dość nachwalić intendantury japońskiej i podnosi zgodnie, że Japończycy są znacznie lepiej jak Rosyanie zabezpieczeni przed zimnami i mrozami, na jakie byli narażeni, leżąc tak długo obozem nad rzeką Szak.

Na ilustracyi, jaką obok zamieszczamy, widać grupę pielgrzymów arabskich, powracających z Mekki. Zatrzymano ich na komorze celnej i poddano obserwacyi lekarskiej. Muzułmanie niechętnie poddają się badaniu, ale zmuszeni koniecznością odbywania kwarantanny i surowością lekarzy i straży pogranicznej, idą pod obserwacyę, klnąc w duszy giaurów, obrażających w ten sposób ich uczucia religijne. Ale trudno. Dżuma jest chorobą straszną i walka z nią musi być prowadzona jak najostrzej



Nowa opera dyr. Żeleńskiego: Znakomity kompozytor, p. Władysław Żeleński, w swoim gabinecie.

Ze świata

(Gra w piłkę. — Sprawa teatru krakowskiego. — Czy aktor może być dobrym dyrektorem teatru. — Sąd Bartoszewicza. — Życzenia nasze dla p. Solskiego. — Przesilenie teatralne w Belgradzie. — Energiczny dyrektor teatru. — Hr. Czajkowski w Paryżu i jego kawały).

Przez kilka tygodni, a może i dłużej odbywała się w Krakowie zajmująca gra w piłkę przy współudziale widzialnych i niewidzialnych partnerów. Podbijano piłkę w Krakowie, odbijano ją we Lwowie, a publiczność układała rozmaite kombinacye na pytanie: kto wygra? Zakładów nie było, a to z tej przyczyny, że wtajemniczeni w tę sprawę wiedzieli naprzód o jej wyniku, szersza zaś publiczność zajmowała się nią li tylko w sposób teoretyczny. Piłkę, jak wspomniałem, podbijano w Krakowie, odbijano zaś we Lwowie, aż wreszcie pochwycił ją p. Solski. Albowiem piłką był teatr krakowski...

Czy teraz będzie lepiej, czy gorzej? No — gorzej nie będzie, a to z tej prostej przyczyny, że byłoby to już niemożliwem. Dyrektor Kotarbiński ze swoją spółką uczynił wszystko, ażeby teatr krakowski zdezorganizować. A więc lepiej w każdym razie będzie, chodzi tylko o stopień polepszenia. I tutaj oczywiście rozmaite pojawiają się zdania. Jedni wołają, że Solski będzie idealnym dyrektorem, drudzy twierdzą przeciwnie, są wreszcie tacy, którzy rozkładają ręce na znak, że nie mogą powiedzieć ani tak, ani owak. Ale w tem wahaniu się jest pewne powątpiewanie.

Bartoszewicz, pisząc w warszawskiej „Gazecie Polskiej“ o teatrze krakowskim, twierdzi, że aktorzy z reguły nie są dobrymi dyrektorami teatrów. „Aktorzy, będący dyrektorami — pisze p. Bartoszewicz — więcej przeważnie dbali o dobre role, niż o dobre sztuki, i brak im było tak odpowiedniego wykształcenia, jak szerszych poglądów na zadanie sceny. Za najlepszego uchodził z nich Glikson, ale też to był najmarniejszy aktor między dyrektorami. Za to najlepszy aktor między dyrektorami — Rychter, był najmarniejszym dyrektorem. A nie! najmarniejszym aktorem-dyrektorem był Miłaszewski, ten co to wystawiał (*ipsissima verba!*) „Balladynę“ (tak!) Słowackiego i pamiętał, że autor był na premierze. Wreszcie dyrekcya p. Kotarbińskiego, mimo, że jeżeli kto, to on, posiadał, zdawało się, najświetniejsze do prowadzenia sceny warunki, nie mogłaby mnie usposobić przychylnie dla oddania dyrekcyi teatru aktorowi“.

Więc p. Bartoszewicz, jako radca miejski byłby głosował przeciwko Solskiemu, gdyby był obecnym na ostatniem posiedzeniu rady miejskiej. Nie roztrząsam kwestyi, czy sąd p. Bartoszewicza jest słusznym, czy nie, ale na to zgadzają się wszyscy, że p. Solski, choćby nawet nie chciał, będzie lepszym niż p. Kotarbiński dyrektorem. P. Solski nie będzie, bo nie zechce, pracować w takiem otoczeniu i w takich okolicznościach, jak jego poprzednik, a to już jest zapowiedzią dobrą. A dalej sądzimy, że jeżeli nowy dyrektor szukać będzie doradców, to z pewnością na wyżynach. I dlatego p. Solskiemu, jako dyrektorowi naszej sceny, zasyłamy serdeczne „Szczęść Boże!“

Tem staropolskiem życzeniem kończę rzecz o teatrze krakowskim. A wiecie łaskawi czytelnicy, że Belgrad, sławetna stolica Serbii, ma obecnie swoją kwestyę teatralną i to jeszcze jaką! Bądź co bądź kwestya ta ma znaczenie kulturne i świadczy na swój sposób o stosunkach Belgradu, który jest nie wiele większy od Tarnowa, a odgrywać musi rolę stolicy samoistnego królestwa.

Przedewszystkiem gmach teatru narodowego w Belgradzie grozi zawaleniem się i władze zamknęły go na czas nieograniczony. Publiczność, pozbawiona widowisk scenicznych, tem pilniej zaczęła uczęszczać do teatrzyków „Variétés“, których Belgrad posiada sporą liczbę. Teatrzyki owe stoją na rozmaitym poziomie nie tyle sztuki, jak moralności. Jeden z nich służy lekkiemu rodzajowi sztuk, ale stara się utrzymać na jakim takim poziomie etyki i estetyki, inne jednakże w rozmaitym stopniu zbliżają się do „tingeltanglów“, a nawet spadają poniżej tego poziomu.

Obecny dyrektor policyi belgradzkiej, Pankowicz, wydał rozporządzenie, że tak artyści, jak artystki z tych teatrzyków, mają się wykazać, że



Izabella Kozłowska.

posiadają rzeczywiście prawo do tego tytułu. Rozporządzenie to było o tyle chybionem, że nie istnieje ścisłe kryteryum, wedle którego możnaby osądzić, kto jest artystą lub artystką, a kto nie. Przy dobrej woli dyrekcyi policyi i dyrektorów owych teatrzyków możnaby sprawę tę załatwić bez trudności, cóż, kiedy właśnie do tytułu artystek i artystów przyznali się w Belgradzie artyści i artystki z trzeciorzędnych teatrzyków, czyli tinglów. Nawet ci, którzy popisują się atletyczną siłą i te, które produkują się na trapezie.

Wobec tylu kompetentów i kompetentek do artyzmu, dyrektor policyi poszedł do głowy po rozum i do licznych artystek zastosował przepisy o policyjno-lekarskiej rewizyi. Powstało „przesilenie teatralne“, a dyrektor jednego z teatrzyków razem ze swoim personalem oparł się rozporządzeniu policyjnemu. Ale dyrektor policyi, Bismark „sui generis“, wsadził artystów na trzy dni, artystki zaś na 12 godzin aresztu, poczem zaś wydalił z Belgradu wszystkich obcokrajowców. I poszedł cały tłum bądź do Węgier, bądź do Wiednia, stamtąd bowiem pochodzi owa wydalona dziatwa Melpomeny. Właściwie chyba pasierby.

Wydalone osoby, zwłaszcza „artystki“, wniosły zażalenie do poselstwa austryackiego w Belgradzie i do ministerstwa spraw zagranicznych w Wiedniu, ale wątpię, czy z tego powodu wyłoni się „casus belli“. Ale nie ma reguły bez wyjątku. Oto gdy panie z Węgier i Wiednia musiały wędrować od domu, pozostała w Belgradzie znana francuska tancerka. Czy dyrekcya policyi miała respekt przed potęgą Francyi, czy też sama tancerka jest potęgą — tego już nie wiemy. Tak wygląda kwestya teatralna w Belgradzie. Wali się teatr narodowy, natomiast kwitną bujnie „tingle“.

Z małej stolicy małego królestwa zaglądnijmy do stolicy świata: Paryża. Od szeregu lat żyje tam hr. Czajkowski, pasierb Muzzafera baszy, który był niegdyś gubernatorem Libanonu. Hr. Czajkowski niedawno był przedmiotem uwagi swojego świata z powodu długów, które zaciągnął, a które częściowo miały cechę oszukańczą. Sprawa ta została załatwiona, a raczej załatana, dzięki temu, że w rodzinie pani hr. Czajkowskiej znajduje się milioner Vanderbilt.

Wydostawszy się z tej przykrej afery, hr. Czajkowski czemprędzej zabrnął w drugą. Oto od jednego z jubilerów paryskich wyłudził kolię perłową wartości 40.000 franków i ofiarował ją swojej metresie jako upominek. Jubiler, nie mogąc doczekać się zapłaty, zaskarżył hr. Czajkowskiego, któremu znowu groził przykry proces. Ale żona jego, wnuczka Vanderbilta, chociaż rozwiodła się z nim, zapłaciła za ową kolię, byle tylko nie dopuścić do skandalu. Po tej aferze hr. Czajkowski poprawił się w ten sposób, że wyłudził w podstępny sposób od pewnego bankiera 14.000 franków.

Zdawało się, że tym razem nie ujdzie mu to na sucho, został bowiem uwięziony. Tymczasem oskarżyciele jego dowiedzieli się ze zdziwieniem, że po kilku dniach Czajkowski został tymczasowo na wolność wypuszczony i wyjechał do Turcyi. Adwokat obwiniego twierdzi, że hr. Czajkowski wyjechał na polecenie sułtana, adwokat zaś poszkodowanego bankiera, w liście otwartym do francuskiego ministra sprawiedliwości dowodzi, że rząd turecki za pomocą swej ambasady w Paryżu ułatwił ucieczkę Czajkowskiemu, dając mu nawet fundusze na podróż do Konstantynopola.

—

Izabella Kozłowska.

Lwowianie jeszcze nie wiele wiedzą o pani Kozłowskiej, bo jest u nas zaledwie od kilku miesięcy...

W Krakowie debiutowała zeszłego roku w listopadzie jako Helena w „Tęczy“ i zyskała duże powodzenie. Tamtejsza kamaryla z pewną wybitną artystką na czele wygryzła ją odrazu, co w danym wypadku świadczy bardzo pochlebnie o talencie p. Kozłowskiej, która tak rychło potrafiła okazać się niebezpieczną dla... filarów, podgryzionych mocno zębem czasu...

Stamtąd przyszła niedawno do Lwowa, czując intuicyjnie, ile wartości ma dla młodych talentów szkoła Pawlikowskiego. Tu debiutowała jako rusałka w „Legendzie“ Wyspiańskiego. Rólka dość nieznaczna, ażeby można wziąć ją za miarę oceny talentu. Ale widziałem panią Kozłowską jako Helenę, którą to rolę wzięła po Siemaszkowej... I na tej podstawie coś więcej powiedzieć można, a zatem...

Warunki zewnętrzne, tak konieczne na scenie, ma wprost wyborne. Sama pani Melpomena, tak srodze kapryśna w swoich upodobaniach, nie miałaby tu absolutnie nic do zarzucenia... i z gustem powierzyłaby jej większą część „bohaterek“ — zwłaszcza tych nowszych, więcej skomplikowanych... Do ról bohaterskich zaleca się bowiem pani Kozłowska bajecznie smukłe rzeźbioną postawą i wzrostem w sam raz... a nadto dźwięcznym, czystym, miękkim głosem, którym rozporządza dowolnie, a co najważniejsza — umiejętnie...

Pięknie modelowana główka i twarz o nader miłym wyrazie, dają przynajmniej gwarancyę, że ich „właścicielka“ będzie na scenie jedną z tych nielicznych dziś „bohaterek“, do których kierowane słowa amanta: „o, jakżeś ty piękna!“ — znajdują wiarę u publiczności i nie pobudzają do ironicznego uśmiechu...

Co dalej, jako moment wielce dodatni zauważyłem, to owa inteligencya sceniczna, całkiem w guście Lessinga, który sztucznie każe artyście „grać“ przez cały czas przebywania na scenie, nawet gdy sam milczy, a inni mówią i zdawać sobie jasno sprawę z danej sytuacyi, w odróżnieniu od niektórych artystów, którzy w chwili największej grozy najgroźniejszej sceny rozpaczy poprawiają sobie fryzurę, lub dowcipkują... U pani Kozłowskiej można ten objaw dodatni zauważyć nawet w pomniejszych rolach (Córka Joria).

Wreszcie umie tchnąć w kreowaną postać dużo szczerego uczucia, unika przytem przesady, fraz uje z wielkiem zrozumieniem intencyi autora.

Sposobi się do „bohaterek“ i jest nadzieja, że przy sumiennej pracy wstąpi w ślady Siemaszkowej...

Poza sceną bardzo milutka egzystencya, odznaczająca się niezwykle dystyngowanym szykiem, choć *in puncto* strojów skromna...

Ciepła wdówka... Do wzięcia... Ale tylko szturmem... *Klewe.*

Z wojny rosyjsko-japońskiej.

Wspaniały i imponujący wszystkim powagom wojskowym ruch oskrzydlający generała Noghi pod Mukdenem przedstawia się w oświetleniu raportów japońskich jako jeden z najgenialniejszych manewrów wojskowych. Sztuka wojskowa święciła w nim swój najzupełniejszy tryumf i dzielny wódz japoński zasłużył sobie dwukrotnie na laurowy wawrzyn. Zdobywca Portu-Artura położył swą zbrojną rękę na szali, która zadecydowała o kampanii pod Mukdenem i zupełnym pogromie Moskali!

Długiemi i uciążliwemi były przygotowania do osaczenia Kuropatkina pod Mukdenem. Wiadomo, że cała akcya była w rękach generała Oku i Noghi i że ci dwaj generałowie prowadzili akcyę zaczepną i okalającą Rosyan. Na skrzydle zachodniem był punkt ciężkości całej armii i tu rozegrały się losy olbrzymiej armii rosyjskiej.

Od zachodu mieli Moskale do czynienia tylko



Z wojny ros.-jap.: Idylla wojenna: Żołnierze japońscy, łowiący ryby w jednej z rzek mandżurskich na północ od Mukdenu.

z generałem Oku, który stał naprzeciw ich prawego skrzydła i zręcznie zasłaniał operacye generała Noghi, który za plecami generała Oku posuwał się ku północy niepostrzeżenie.

Armia generała Noghi pojawiła się w polu dopiero dnia 27 lutego, to jest wtedy, kiedy Oku zdołał już się na swych pozycyach umocnić i zwrócić na siebie całą uwagę Rosyan. Generał Noghi ukrywał się ze swymi ruchami za armią generała Oku i sam wystąpił do akcyi wtedy, kiedy już Oku był w ogniu bitwy. Należy zwrócić uwagę na to, że Noghi umiał zręcznie poruszać swą armią, że nie dał poznać Rosyanom swych planów i że do końca zdołał ich utrzymać w błędnem mniemaniu, iż jego armia to tylko część armii generała Oku, że jest to tylko najbardziej na północ wysunięte skrzydło armii generała Oku, który z gros swych wojsk toczył zacięty bój z uderzającemi nań raz za razem kolumnami Moskali. Prawe skrzydło Noghiego opierało się o miejscowość Szwangszu, lewe o miejscowość Pienlina, tak, że cała armia stała między Hunem a Liao. Armia Noghiego stanęła na tej pozycyi w jednym dniu, przeszedłszy forsownym marszem odrazu 50 kilometrów. Rekonesanse rosyjskie nie mogły jej odkryć, znaleźć i wyśledzić jej ruchów, gdyż najpierw armia wykonała ten szalony ruch w jednym dniu, a więc niesłychanie szybko, a nadto, żeby módz śledzić ruchy Noghiego, musiałyby podjazdy rosyjskie przejść przez linie generała Oku, co było niemożebne. Wojska Noghiego maszerowały kolumnami w odstępach, przyczem jego lewe skrzydło szło znacznie naprzód, zasłonięte kawaleryą.

W drugim dniu marszu odbyto 38 klm., w trzecim 42 klm., i wtedy, to jest 1 marca, wkroczyły straże przednie kawaleryi japońskiej do Sinmintin, położonego o 54 klm. na północny zachód od Mukdenu. Mimo tak szybkich i forsownych pochodów potrafili Japończycy dokonać tego oskrzydlającego ruchu tak zręcznie i tak bez żadnego oporu, że Rosyanie, mimo iż stracili Sufangtai, które było w ich rękach od bitwy pod Hajkontaj, nie domyślali się wcale a wcale bliskiego sąsiedztwa wrogiej armii. Owszem, zdaje się, że uważali wojska Noghiego za część armii generała Oku i w tym błędzie pozostawali aż do 4 marca, w którym to dniu weterani z pod Portu Artura pod wodzą Noghiego wykonali nagle zwrot na wschód tak, iż prawe skrzydło równało się z linią lewego skrzydła armii Oku w miejscowości Likwanpao, a ich lewe skrzydło sięgało na północ do Tasziczao, (leżącego na połowie drogi między Sinmintin a Mukdenem). W ciągu następnych dwu dni ta skrajnie zachodnia armia generała Nohgi, to jest jego prawe skrzydło, wspierało ataki generała Oku na rosyjskie pozycye na południowym zachodzie od Mukdenu, generał Noghi równocześnie pchał swoje lewe skrzydło jeszcze dalej na północ. Do dnia 7 marca Noghi zdołał z resztą wojsk zakreślić potężny łuk na wschód, którego front roztaczał się na 25 klm., chociaż swego prawego skrzydła nie ruszył z Likwanpao, czyli nie zerwał kontaktu z generałem Oku.



Z wojny ros.-jap.: Żołnierze japońscy, opatrujący ciężko rannego żołnierza rosyjskiego, wziętego do niewoli.

Walki były teraz wściekle zażarte, bo Rosyanie bronili się do upadłego w swych oszańcowanych pozycyach na północnym zachodzie od Mukdenu, a nadto wysłali na północ przeciw Noghiemu całą dywizyę wojsk z 70 działami, w celu wbicia się klinem w wojska bohatera z pod Portu-Artura — ale daremnie. Bataliony port-arturskie stały murem na zajętych pozycyach i nic nie zdołało ich powstrzymać i rozbić. Żołnierze-weterani, którzy brali udział w zdobywaniu Portu Artura, twierdzili, że dla nich walka na tyłach armii rosyjskiej była zabawką w porównaniu z tem, przez co przeszli pod Portem Artura. Wiedzieli, że od nich zależy los bitwy i nie cofnęli się przed żadną siłą; odparli wszystkie ataki i sami przeszli do akcyi zaczepnej. Więc dnia 8 marca wzięli szturmem jednę pozycyę po drugiej: Siaokiaton, Pakiatsu, Sanchiatsu, a w końcu doszli do potężnie obwarowanej linii, ciągnącej się z Tapingczwanu aż do grobów cesarskich, leżących na północ od Mukdenu. Stanąwszy przed tą linią, zniszczyli wpierw kolej żelazną na północy za miastem, co było jednym ze zwycięskich czynów tej armii.

I nadszedł moment, w którym Kuropatkin poznał, w jak fatalnem znajduje się położeniu. Dopiero wtedy zrozumiał, że jest osaczonym i że dzielny przeciwnik przygotował nań taką pułapkę, iż gdy zatrzask zapadnie, cała jego armia zostanie zniesioną. Gdy dnia 7 marca w całej sytuacyi się rozpatrzył, postanowił — jak zawsze — cichaczem się wymknąć. Wtedy umilkły już telegramy o tem, ilu wziął jeńców i ile karabinów maszynowych zdobył na Japończykach, a rozpoczęła się straszna ucieczka, zmykanie ku północy na łeb, na szyję. I w nocy dnia 7 marca, przed północą rozpoczął się odwrót. Japończycy już o godzinie 2 rano zoryentowali się, o co chodzi i o 2 rano ruszył za nim Nodzu z południa.

Zanim Kuropatkin dotarł do rzeki Hun, gdzie zamierzał stawić energiczny opór i nie pozwolić Japończykom przez nią się przeprawić, już armie japońskie deptały mu po piętach, zmusiły go do



Z wojny rosyjsko-japońskiej: Piechota japońska odpiera zwycięsko atak kozaków. Epizod z bitwy nad rzeką Hun.



Z wojny ros. jap.: Głównodowodzący armii rosyjskiej, generał Liniewicz, zwiedza ze sztabem obwarowania swego obozu.

przeprawy i nie dały wytchnąć ani przez chwilę. O godz. 11 rano, dnia 8 marca, generał Oku stoczył czterogodzinną morderczą bitwę, która była straszną rzezią. Rosyanie stracili 8 tysięcy w zabitych i rannych, generał Oku przebił się przez pas fortyfikacyj rosyjskich, które broniły Mukdenu od południa i zachodu, taktykę swoją obronną nagle przemienił w śmiałą ofenzywę i brawurowymi atakami spędzał Rosyan z ich pozycyj, ścigając ich bez wypoczynku.

Na wschodzie generał Kawamura, spostrzegłszy, że Rosyanie w nocy się cofają, ponowił ataki, a tymczasem Noghi przed samem południem ukończył niszczenie toru kolejowego na północ od Mukdenu. Tak więc na wszystkich stronach atakowani, nie mając punktów oparcia po straceniu swych obronnych pozycyj, poczęli Rosyanie w popłochu, nie zdając sobie sprawy z sytuacyi, cofać się ku północy w zupełnym bezładzie i zamieszaniu, tak, że nie można już było myśleć o jakiejkolwiek akcyi lub choćby nawet o cofnięciu się w „porządku“ na dalsze pozycye. Była ucieczka w straszliwym popłochu i ogólnej panice!...

Tak więc już 10 marca była ta olbrzymia bitwa, której front, jak wiadomo, rozciągał się na przestrzeni 130 kilometrów, skończoną. Rosyanie zostawili za sobą 30 tysięcy trupów, przeszło 100 tysięcy rannych mieli ze sobą, a około 50 tysięcy żołnierzy wpadło w ręce zwycięzców i dostało się do niewoli. Nadto utracili olbrzymie zapasy żywności, broni i amunicyi. Japońskie straty ogółem wynosiły około 50 tysięcy żołnierzy.

Spodziewano się, że Rosyanie, zmuszeni do opuszczenia Mukdenu, stawią opór w Tielinie, który posiadał i na pół trwałe fortyfikacye i liczne zasoby wojenne. Ale pogrom pod Mukdenem był tak całkowity, że odwrót był ucieczką bez zamiaru zatrzymania się gdziekolwiek dla stawienia oporu. Gdyby byli Rosyanie zatrzymali się pod Tielinem, zostaliby zupełnie zniesieni przez armie japońskie, które w pościgu zachowały front okalający i usiłowały Kuropatkina zmusić do przyjęcia bitwy pod Tielinem. I tak Tielin dnia 16 marca wpadł w ręce Japończyków, a armia rosyjska, cofając się bez wytchnienia, zbierała po drodze swe części rozbite i umykała dalej na północ.

Tak w świetle raportów japońskich przedstawia się najgłówniejszy moment bitwy, który zaważył i zadecydował o zwycięstwie marszałka Oyamy. Był to jeden z bohaterskich czynów żołnierzy japońskich, których prawdziwie wielką odwagę i niezmierne męstwo mieliśmy sposobność już tyle razy podziwiać, że nie doceniamy ich nieraz wtedy, kiedy one naprawdę wyrastają jeszcze ponad tę wysoką miarę, jaką do nich zwykliśmy przykładać.

W Mandżuryi — jak donosiliśmy — położenie obu armij względem siebie jest tego rodzaju, że prawdopodobnie przyjdzie w najbliższym czasie do nowego starcia. Obie armie są ciągle w stałym kontakcie ze sobą tak, że ustawicznie przychodzi do drobniejszych potyczek między strażami. Obecnie generał Liniewicz przygotowuje swe wojska do możliwej w najbliższym czasie bitwy, która, sądząc z telegramów, przyjdzie wkrótce do skutku. Japończycy obchodzą znowu, zdaje się, skrzydła rosyjskie i czynią to z widocznym pośpiechem i tu, na skrzydłach, przychodzi bardzo często do starć i większych potyczek. Silne straże kryją jednak ruchy wojsk japońskich, a rekonesanse rosyjskie — jak przyznają wiadomości petersburskiej ajencyi telegraficznej — są za słabe, żeby módz przebić linie straży nieprzyjacielskiej.

Generał Liniewicz, objąwszy naczelne dowództwo nad rozbitkami z pod Mukdenu, pozaprowadzał w armii pewne zmiany, które mogą świadczyć o jego poczciwych, ale prawdopodobnie bezsilnych intencyach. Sam obóz został w zupełności zreorganizowany, a wódz kładzie nacisk na największą prostotę w życiu oficerów. Dwie trzecie oficerów odesłał do pułków, zabronił oficerom jeździć pociągami luksusowymi, przez co uzyskał około 200 wagonów do transportu. Oficerów gwardyi, którzy kręcili się po obozie z tytułami osobistych adjutantów, odesłał z powrotem do Rosyi. Tak więc znać w tej reorganizacyi nowego ducha — ale wywołanego raczej siłą nieugiętej konieczności, niż przekonaniem, że tego rodzaju reorganizacya jest naprawdę konieczną i słuszną. Armia, pozbawiona olbrzymich zapasów prowiantów i ogromnej ilości wagonów, które wpadły w Mukdenie i w Tielinie w ręce Japończyków, musiała ograniczyć swoje zapotrzebowania obecnie, gdyż w przeciwnym razie mógłby głód zaglądnąć w oczy całemu wojsku. W takich warunkach koniecznem było ograniczenie zapotrzebowań oficerów, które miało miejsce ze szkodą dla ogółu wojska. Jest jednak rzeczą pewną, że i nadal oficerowie będą hulać w obozie, bo życie żołnierskie bez hulanki się nie obejdzie, a rozporządzenia Liniewicza mają prawdopodobnie tylko na celu ograniczenie choć w części tego hulaszczego i szerokiego życia, jakie prowadzą oficerowie rosyjscy.

Specyalny korespondent wojenny berlińskiego



Z wojny rosyjsko-japońskiej: Epizod z odwrotu Rosyan po bitwie mukdeńskiej.

„Tageblattu" rozmawiał w Gundulinie z Liniewiczem i rozmowę swoją opisał w depeszy. Według tej depeszy sztab Liniewicza składa się z niewielu, ale doborowych oficerów. Liniewicz jest łatwo dostępny i w stosunkach bardzo pojedyńczy. Po powitaniu z korespondentem powiedział, że życzy sobie, aby publiczność miała o tem, co się dzieje na placu boju, możliwie dokładne wiadomości i że on ceni prasę bardzo wysoko. Liniewicz przedstawił następnie, że rozbitą pod Mukdenem armię doprowadził do należytego stanu i że straty są stosunkowo mniejsze, niż się na razie spodziewał. Mogły one być większe, ale Japończycy sami byli tak wyczerpani, że nie mogli ścigać Rosyan aż do skutku. „Obecnie – powiedział wódz – armia moja jest znowu gotową do boju i śmielej spogląda w przyszłość, niż dotychczas, chociaż nie mogę ukrywać, że dostało mi się dziedzictwo bardzo, a bardzo trudne".

W Mandżuryi, zajętej przez wojska japońskie, ma nastąpić wprowadzenie władz cywilnych do okupowanej części tego kraju. Dotychczas od początku wojny naczelną władzę administracyjną posiadały w swych rękach władze wojskowe. Obecnie władze wojskowe będą miały jeszcze i nadal naczelną władzę w tym kraju, jako w kraju objętym wojną, ale do czynności administracyjnych zostaną powołani urzędnicy cywilni i służba cywilna zostanie utworzona w celu utrzymania porządku i spokoju. Zarządcą półwyspu liaotuńskiego ma zostać zamianowany generał Kamio.

* * *

Jeżeli prawo międzynarodowe, tak pod względem ustawodawczym jak i wykonawczym, jest bardzo chwiejnem, a często nieuchwytnem, to część jego, odnosząca się do neutralności państw podczas wojny, jest należycie skodyfikowaną i posiada nawet środki wykonawcze. Dziwić się temu nie należy. W miarę, jak międzynarodowy ruch zaczął obejmować całą kulę ziemską, gdy każda wojna wywierała wpływ na stosunki nie tylko stron wojujących, lecz także na większy lub mniejszy kompleks terytoryów i większe grupy państw, sprawa neutralności nabierała coraz więcej znaczenia i dzisiaj w międzynarodowych stosunkach odgrywa pierwszorzędną rolę.

W obecnej wojnie pomiędzy Rosyą a Japonią już kilkanaście razy wyłaniały się rozmaite zagadnienia z powodu niedostatecznego przestrzegania zasad neutralności ze strony rozmaitych mocarstw. Przedewszystkiem zarzucano Niemcom, że, sprzedając prywatne okręty wojennej marynarce rosyjskiej, naruszają przepisy prawa międzynarodowego. Później zarzut podobny spotkał Anglię za dostarczanie węgla rosyjskim okrętom wojennym, a nawet małe republiki południowo-amerykańskie zostały wciągnięte w ten wir międzynarodowy. Były to jednakże drobne epizody i dopiero w ostatnich tygodniach, gdy flota Rożdiestwieńskiego i eskadra Nebogatowa przybyły na Daleki Wschód, wystąpiła Japonia energicznie przeciwko Francyi, którą obwinia o tendencyjne łamanie neutralności na korzyść floty rosyjskiej.

Prawo międzynarodowe powiada, że tak zwane wody teroryalne ulegają przepisom neutralności i są dostępne dla okrętów państw wojujących tylko na ograniczony czas i pod ściśle oznaczonemi warunkami. Wody terytoryalne, to jest pas morza przy brzegu, należą do pewnego państwa na odległość trzech mil morskich, to jest 5 i pół kilometra, od wybrzeża przy najniższym stanie poziomu morza. W zatokach terytoryalność rozciąga się na 10 mil morskich od ujścia, a tak zwane morza zamknięte, do których wstęp istnieje tylko przez cieśninę, są w całości pod władzą jednego czy więcej państw nadbrzeżnych. Zamiast trzech mil morskich przyjmują niektórzy dla oznaczenia terytoryalności morza odległość strzału działowego na podstawie staraj zasady: „potestas terrae finitur, ubi finitur armorum vis". Ta definicya jest oczywiście bardzo luźną, jak wogóle sprawa neutralności wód terytoryalnych jest chwiejną i musi być dopiero ściśle rozpatrzoną i skodyfikowaną. Kilkakrotnie usiłowały niektóre mocarstwa rozszerzyć neutralny pas wód terytoryalnych do 6 mil morskich od wybrzeża, ale usiłowania te spełzły na niczem.

Japonia coraz energiczniej występuje przeciwko Francyi. Obecnie admirał Rożdiestwieński wpadł na pomysł,ażeby tę samą broń zwrócić przeciwko Japończykom. Admirał Rożdiestwieński zawiadomił mianowicie admiralicyę w Petersburgu, jakoby okręty wojenne Japonii przebywały bezprawnie na holenderskich wodach terytoryalnych koło wyspy Borneo. Z tego powodu ma Rosya wnieść protest do rządu holenderskiego z powodu rzekomego naruszenia neutralności przez kolonię holenderską na Borneo na korzyść Japonii, a ze szkodą Rosyi. Wedle telegramów z Londynu, oburzenie przeciwko Francyi wzrasta z dnia na dzień, a również i rząd angielski jest zdziwiony uporczywem naruszaniem neutralności ze strony Francyi. Sprawa ta może doprowadzić do poważnych zawikłań międzynarodowych, które muszą się odbić na Francyi.

Wskutek pobytu eskadry Rożdiestwieńskiego w okolicy i na wodach francuskich i wskutek ciągłego manewrowania rosyjskich okrętów koło wybrzeży anamskich — konflikt francusko-japoński nie ustaje. Rożdiestwieński manewrami swymi dokonał tego, że dotychczas nic nie stanęło na przeszkodzie połączeniu się jego z eskadrą Nebogatowa. To też Japonia śle noty za notami do Paryża, czyniąc usilne starania, by Francya sta nowczo wzbroniła Rożdiestwieńskiemu przebywania w obrębie wód francuskich. Rożdiestwieński, opuściwszy Kamran, przebywał w różnych portach i zatokach, skąd wypędzały go niegościnne władze francuskie. W zatoce Honkoe znalazł go admirał francuski Jonquiers, ale okręty wojenne stały już poza obrębem wód francuskich. Gubernator Indo-Chin otrzymał polecenie czuwania nad neutralnością Francyi. Wogóle Francya najsolenniej przyrzeka przestrzegać wszystkich praw neutralności i dlatego należy przypuszczać, że wszelkie obawy co do możliwości zaostrzenia się jeszcze konfliktu z Japonią są płonne i bezpodstawne.

Fakt połączenia się eskadry Nebogatowa z eskadrą Rożdiestwieńskiego jest wypadkiem najważniejszym na całym terenie wojennym. Rosya wzmocniła poważnie swe siły morskie i obecnie może nawet liczyć na pewne szanse zwycięstwa. Był to naprawdę jeden z najważniejszych kroków Rosyi w celu zrehabilitowania się i odzyskania swej przewagi na Oceanie Spokojnym. Z tą chwilą, z chwilą połączenia się obu eskadr rosyjskich wszystkich oczy zwracają się znowu na mające nastąpić starcie sił nieprzyjacielskich na morzu, gdyż ono rozstrzygnie o losach dalszej kampanii. Nikt nie wątpi, że jeden nierozważny krok mógłby na zupełne zniszczenie narazić całą eskadrę japońską, która pod wodzą admirała Togo ma spełnić obecnie najważniejsze zadanie, jakie od początku wojny jej przypadło, to jest ma nie dopuścić do Władywostoku złączonych eskadr Rożdiestwieńskiego i Nebogatowa i stoczyć z nimi bitwę w warunkach dla siebie najdogodniejszych. Japonia musi wszystkie siły swe wytężyć by zwyciężyć, gdyż w przeciwnym razie siły jej lądowe zostałyby narażone na zupełne odcięcie ich od podstawy operacyjnej, jaką stanowi kraj macierzysty.

Miejscem połączenia były okolice przylądka Padaran, położonego na południe od zatoki Kamrańskiej, a oddalonej o 350 klm. na północ od Sajgonu. Okręty eskadry Nebogatowa spotkały się z dwoma okrętami Rożdiestwieńskiego w pobliżu ujścia Mekongu, ale władze francuskie Kochinchiny stanowczo sprzeciwiły się połączeniu obu eskadr na wodach francuskich. Jednym z tych okrętów, które



Z wojny rosyjsko-japońskiej: Obóz japoński na północ od Mukdenu.

spotkał eskadrę Nebogatowa, był „Zemczug“ o którym donosiły telegramy, że miał się odłączyć od eskadry i przedrzeć się przez wody japońskie do Władywostoku. Obecnie wieści dawne o „Zemczugu“ okazują się nieprawdziwemi. Eskadry obie połączyły się na pełnem morzu, żeby uniknąć naruszenia neutralności Francyi. Rożdiestwieński, który dotychczas trzymał się brzegów anamskich, wyruszy prawdopodobnie obecnie na wody japońskie, a wtedy najbliższe dni przyniosą nam może wieść o dalszej akcyi, której rozpoczęcie leży całkowicie w rękach admirała Togo.

Z rycin, jakie podajemy w tym numerze, zasługują na uwagę przedewszystkiem dwie, z których jedna przedstawia odwrót centrum armii z pod Mukdenu po zburzeniu kolei i zdobyciu głównych obronnych pozycyj przez generała Oku. Wokoło ranni i zabici zaścielają gęsto pobojowisko, a kolumna, cofając się, zabiera z sobą rozbitków i rannych i resztki dział z rozbitych bateryj. W całej rycinie widać smutek, unoszący się nad tymi nieszczęśliwymi żołnierzami, pozbawionymi dachu nad głową i ciepłej strawy w mroźne dni i noce, doprowadzonymi do rozpaczy trudami i ciągłem borykaniem się z niebezpieczeństwami i ze śmiercią, zaglądającą w oczy, a równocześnie mającymi w sobie wiele odwagi, żeby tej śmierci śmiało w oczy spojrzeć. Druga rycina uderza nas bohaterstwem dzielnych żołnierzy japońskich, odpierających atak kozacki. Przez rzekę, ściętą lodami, przeprawiają się piechurzy japońscy, by rozpocząć walkę na śmierć i życie z rozbójnikami kozackimi, których żaden żołnierz japoński nie uważa za żołnierza.

Ogromnie interesującą jest rycina, przedstawiająca pokojowy obrazek z wojny, jedną z tych scen pogodnych wśród chaosu walki i rozlewu krwi, jakie się od czasu do czasu dadzą zauważyć u obu stron wojujących. Korespondenci wojenni niejednokrotnie wspominają o takich scenach, którym my, zdala obserwujący te epokowe zapasy małego narodu z olbrzymim niedźwiedziem północy, nie dajemy po największej części wiary. A jednak, w chwilach, kiedy działa grzmieć przestaną, kiedy na pobojowisku nastanie cisza, żołnierze, którzy szli w bój bez myśli już o życiu, zdecydowani na śmierć, którzy rozbestwili się w czasie walki, otoczeni krwią i ranami, ci żołnierze stają się znowu ludźmi, tak samo spokojnymi i cichymi, jak my. Wzburzone nerwy uspokajają się, wzrok się wypogadza, myśli biegną daleko, hen, do wioski rodzinnej, gdzie zostawili matki, żony, dzieci. Przypominają im się wtedy szczęśliwe chwile młodości, na łonie rodziny i matki przyrody spędzone, sielskie, anielskie chwile, będące dla duszy strapionej, znękanej ukojeniem i ciszą. Grzebie się w tych wspomnieniach i wydobywa się z nich co najmilsze i najbardziej sercu drogie. Komu tam w myśli wojna? Teraz każdy zostawiony sam sobie, może robić, co mu się najbardziej podoba. A więc Japończycy, przyzwyczajeni w ojczyźnie do łowienia rybek, w chwilach, kiedy nie trzeba stać w pogotowiu, w chwilach odpoczynku zabawiają się łowieniem rybek w madżurskich rzekach. Taki obrazek przedstawia nasza rycina. Ale kiedy zabrzmi znowu komenda, kiedy się ozwą trąbki, każdy z nich pobiegnie do szeregu i gotów jest w tej chwili iść na wroga, w wir walki. Bo obowiązek jest obowiązkiem, a śmierć za ojczyznę szczytem chwały dla Japończyka. Rycina, o której mówimy, uderza nas spokojem. Jestto sielanka wśród rzezi, słoneczny obrazek z pola walki.

Jedna z rycin przedstawia jenerała Liniewicza, zwiedzającego forty na pozycyach obronnych.

Inne ryciny są zrozumiałe i same się tłómaczą — nie będziemy ich więc szczegółowo objaśniać.

KRONIKA LWOWSKA.

Zamach na ogony damskie. — Interpelacya p. Lerskiego i odpowiedź p. Michalskiego. — Senzacya Lwowa. — Roman Bojko. — Bank szmaciany i jego dobrodziejstwa. — Znawca garderoby damskiej, Córka Joria, a pończoszki i meszty panny Zielińskiej. — Skompromitowane miasta włoskie. — Pomnik Bartosza za miastem.—Teatralia — Okradziona Mrozowska.

Mam do zanotowania fakt, który swoją grozą przechodzi wszystko, co kroniki moje dotychczas zanotowały. Oto na jednem z ostatnich posiedzeń naszej rady miejskiej radny p. Lerski dopuścił się zamachu na damskie ogony, czem wywołał słuszne oburzenie u całej niewieściej połowy naszego miasta. Radny Lerski zainterpelował wiceprezydenta p. Michalskiego, co zamierza na przyszłość uczynić, ażeby złemu zaradzić. W obszernie umotywowanej, treściwej, a fachowej interpelacyi, przedstawił pan Lerski straszne skutki noszenia ogonów damskich, podzielił te ogony na stany i klasy i klasy i dał dowód, że sprawę tę studyował już długo i z przejęciem. Ogony arystokratyczne, według jego doświadczenia, nie są tak niebezpieczne, bo nasze panie podnoszą je jak najwyżej i robią wszystko możliwe, aby ich nie wypuścić z rąk. Mając bowiem wolne ręce, są w stanie trzymać ogony całkiem w porządku i w myśl życzenia pana Lerskiego. Taki ogon przeważnie jest niewinny, wcale nikomu nie szkodzi i dlątego p. Lerski te ogony bardzo chwali i z uznaniem podnosi. (Potakiwania u rajców – głośny pomruk u socyalistów.) Natomiast druga klasa ogonów nie zasługuje już u pana Lerskiego na pochwałę, ale jeszcze gotów dla miłej zgody i na te się zgodzić. Są to te ogony, których używają przy sukniach średnie warstwy pań, przeważnie ze sfer średnich, urzędniczych. Taka bowiem pani ma zazwyczaj jedną rękę zajętą, np. nosi toerebkę lub coś takiego, a drugą może jeszcze trzymać ogon. Wprawdzie od czasu do czasu wypuszcza go z ręki, ale to się dość rzadka zdarza, więc i tym paniom p. Lerski ostatecznie pozwala na ten zbytek. (Długotrwałe oklaski na lewicy — wiceprezydent dzwoni.) Natomiast woła p. Lerski oburzony — wprost bezczelne są ogony trzeciej klasy! Noszą ją przeważnie kucharki, pokojówki, mieszczki, mniejsze gospodynie i inne, nie zasługujące na wymienienie kobiety, które mają obie ręce zajęte koszykami, garnkami, wazonami, wieszadłami, baljami, patelniami, stolnicami i innemi lewatywami, puszczają nieszczęsny ogon na trotuar, bo trzeciej ręki nie mają i zamiatają nim ulice, nie kropiąc ich poprzednio wodą, czem wywołały wybuch epidemii tężca karku i innych tyfusów plamistych. Należy więc podzielić wszystkie kobiety Lwowa na ogoniaste, tj. takie, którym wolno nosić ogony i bezogoniaste tj. takie, którym ogonów używać nie wolno! (Długotrwałe oklaski) Pan wiceprezydent Michalski, odpowiadając bez przygotowania na tę interpelacyę, przyrzekł zastanowić się nad sposobem wykorzenienia ogonów damskich III klasy, podnosząc jednak przytem z naciskiem, że, jakkolwiek radny Lerski ma poniekąd słuszność, to jednak z drugiej strony owe ogony i dobrą swoją stronę mają, gdyż magistrat, mając o wiele mniej do zamiatania, grubo na tem oszczędza. Co się zaś tyczy kropienia przed zamiataniem, to nie można tego żądać od pań, ale należałoby raczej pomyśleć dla równego rozdziału, jakby panów do tej czynności przynaglić a w ten sposób jeden z największych, a nigdy niewykonywanych ciężarów magistratu przeniósłby się na samych mieszkańców. Spluwanie i to na każdym kroku u nas praktykowane systematycznie, nie jest jeszcze dostatecznem w tej mierze. Odezwały się nawet głosy, aby ogony damskie opodatkować, ale w głosowaniu wnioski te upadły. Pana Lerskiego kobiety dotychczas nie zlynchowały, może dlatego, że od onegdajszego posiedzenia boi się pokazać na ulicy.

Drugą senzacyą Lwowa jest obecnie 16-letni berbeć w mundurze rosyjskiego żołnierza, kapral i właściciel medalu za dzielną ucieczkę, Roman Bojko. Opowiada on cuda o wojnie mandżurskiej, skąd przyjechał na urlop do Lwowa. Order — jak sam twierdzi — dostał za ucieczkę z niewoli japońskiej. Reporterzy gonią za nim z aparatami fotograficznymi ale mała bestya siedzi gdzieś za drągiem i pije z kolegami na umor. Łże jak z nut, a jego blagi łowią chciwie reporterzy i przenoszą z kolorami na papier, poczem puszczają to w świat. Lwów ma nową senzacyę.

Nasza kasa oszczędności zdecydowała się założyć zastawniczy bank szmaciany, o który już tak długo dopraszają się nasze żakiety, fraki, paltoty, kamizelki i niewymowne. Będzie to — jak się spodziewać wolno. największy i najznakomitszy zarazem skład tandecki we Lwowie. Łatwość uzyskania pieniędzy na zastaw szmaciany z jednej strony, a powszechna bryndza mieszkańców i gorliwa opieka naszych władz podatkowych z drugiej strony, gotowe spowodować, że pewnego poranku obudzi się połowa Lwowa — bez krawatki, a wiele urzędów będzie musiało zastanowić czynności na czas nieograniczony. Zachodzi tylko pytanie, czy i garderobę teatralną przyjmować zechce nowy bank szmaciany. W takim razie zaproponowałbym na specyalnego rzeczoznawcę pewnego recenzenta teatralnego, jednego z najstarszych, który w tych arkanach okazał w ubiegłym tygodniu nadzwyczajną „fachowość“. Z okazyi wystawienia „Córki Joria“ napisał pan recenzent sprawozdanie, w którem aż kilkadziesiąt wierszy poświęcił pończoszkom i mesztom panny Zielińskiej, zarzucając im niestosowność, czy niedramatyczność, a pisał o tej „piekącej“ kwestyi z takim zapałem, jakby tu chodziło przynajmniej o zbawienie ojczyzny. Poczciwy staruszek byłby może nie sięgnął tak daleko, czy tak nisko, ale — powiadają powszechnie — była tu inna, bardzo zresztą przejrzysta przyczyna, która kazała dżentelmenowi zapomnieć, że nie wypada w „poważnej“ recenzyi teatralnej poświęcać aż tyle miejsca... pończochom i mesztom, tem mniej, że cała rólka panny Zielińskiej należała do najmniejszych. Przejrzał Lwów, który czyta między liniami, czem pismo pachnie, a nie pomogło nawet i to, że dla odwrócenia podejrzeń wysunął pan recenzent panią — Bednarzewską. Uderz się w piersi, stary grzeszniku i powiedz sumiennie. czy o Bednarzewskiej myślałeś... Hm... Jak to kobieta nieraz pozbawi mądrego skądinąd człowieka zdrowego rozsądku... Hm... Mała Zielińska spłakała się gorzko, jak niepocieszona wdowa, która nieostrożnie dała słowo honoru nieboszczykowi mężowi przed jego śmiercią, że powtórnie za mąż nie pójdzie... Ale koniec końcem: pończoszki i meszty w c. k. recenzyi dostały c. k. besztaninę od c. k. recenzenta i otrzymają, zdaje się, dymisyę, a panna Zielińska będzie odtąd musiała na bosaczka skakać przed c. k. recenzentem na scenie... A on to lubi... oho! W starym (przepraszam za poufałość) piecu (..za porównanie) dyabeł (...za wyrażenie) pali (...za przesadę)... Fe!

Taksamo jak pończoszkom panny Zielińskiej od c. k. recenzenta, dostały się Wenecyi ostre cięgi od pewnego dziennikarza lwowskiego, który wyjechał za „frajkartą“ do Włoch i stamtąd w jednym z tutejszych dzienników nawymyślał biednej i Bogu ducha winnej Wenecyi od tyłu i takich epitetów, że Wenecyanie z radą miejską na czele pogrążyli się w ciężkim smutku i wstydzie i postanowili zbierać w całym świecie, szczególnie w Galicyi składki pieniężne, ażeby to biedne miasto jako tako podreperować i uczynić bodaj w przybliżeniu podobnem do Lwowa. Co prawda, nie łatwo to pójdzie, a do tego czasu Lwów gotów postąpić znów naprzód i dostać drugi pasaż Mikolascha i drugą połowę Muzeum przemysłowego, ale w każdym razie artykuł zrobił swoje — Wenecya jest skompromitowana. Takie zaś miasta jak Rzym, Florencya i Neapol są tak nieczyste, brzydkie, niechlujne i głupie, że nawet za „frajkartą“ nie warto do nich zaglądnąć a Lwów w porównaniu z niemi wyprzedza je o całą długość oślich uszu z dodatkiem. Wobec tego Lwowianie nie wyjeżdżają w tym roku do Włoch, a chodzą do parku łyczakowskiego, gdzie zresztą wkrótce stanie pomnik Bartosza Głowackiego.

Nasza rada miejska wyznaczyła bowiem miejsce pod pomnik Głowackiego... za miastem, u wylotu parku łyczakowskiego, czyli wyrzuciła Głowackiego za miasto, przeznaczając go do towarzystwa łyczakowskim piaskarzom. Swoją drogą, że Głowacki był chłopem i nie można go stawiać w samem mieście, gdzie już zresztą mamy dość pomników i gdzie Sobieski wskazuje buławą „tu jest hotel Grand“, a Fredro pisze coś na kolanie, na spodniach.. Głowacki zaś stanie tuż przy rogatce i wskazywać będzie chłopom: „Chcesz zbawić ojczyznę, to zapłać c. k. mytowe“...

Jeszcze tylko słówko o teatrze. Otóż Solski pakuje manaty i szoruje do Krakowa, ażeby przez rok przygotowywać teatr dla Pawlikowskiego. Za Solskimi żałujemy wszyscy z małymi wyjątkami. Już dziś kombinują ludzie, co będzie po roku we Lwowie. Mówią o Hellerze, mówią o konsorcyum, mówią o umiastowieniu — wszystko to niczem. Pawlikowski Wasz, a panna Mrozowska wobec tego nasza... Wogóle spodziewać się należy *change* na wielką skalę, jak w roku 1900.

A propos! Okradzenie panny Jadwigi Mrozowskiej wywołało we Lwowie, zwłaszcza w światku teatralnym, żywe współczucie. Nawet tutejsi złodzieje zainteresowali się niemało tym faktem i postanowili zwrócić baczniejsze oko na artystki tutejsze. Pokazało się jednak, że od czasów Pawlikowskiego nie ma we Lwowie wiele „ubrylantowanych“ artystek, a te, które są, zamykają się bezpiecznie przed złodziejami. Pani Mrozowska może mówić o szczęściu, że jej czegoś więcej nie skradziono. Na przykład podpisany byłby ją nie okradł, ale ukradł.

Klewe.

Przy kasie kolejowej.

Kucharka. Proszę o bilet!...
Kasyer. Dokąd panienko?
Kucharka. A pana co to obchodzi?
Kasyer. Do dyabła! przecież jak mam dać bilet, to muszę wiedzieć, dokąd panna jedzie!...
Kucharka (z wściekłością). Musisz pan wiedzieć, to proszę! Do mojego narzeczonego!...

Hubert Brzozowski.

I znowu jeden młody, wiele zapowiadający talent...

Z rodziny, której wszyscy członkowie pełnili szlachetne funkcye kapłanów u wzniosłego ołtarza Sztuki... syn znakomitego poety, wziął z pierwszej ręki piękną tradycyę, z obowiązkiem dalszego jej kultywowania...

Piękne wróżki, które z upodobaniem obrały za swoją ostoję tę przezacną rodzinę, kołysały także kolebkę młodego Huberta w tropikalnej atmosferze Małej Azyi i śpiewając pieśni poety-ojca wróżyły chłopięciu, że kiedyś żywe słowo nieść będzie w masy ze sceny...

Wróżba miała się spełnić...

Po ukończeniu szkół oddano młodego Huberta do duchownego liceum OO. Salezyanów w Turynie we Włoszech... Lecz nie habit duchowny był mu przeznaczony i smętny blask światła kościelnego, ale stroje histryonów, połyskujące w świetle oślepiających kinkietów... Tak chciały dobre wróżki...

I zgłosił się pewnego pięknego wieczora czy poranku r. 1900 młody, a przystojny pan Hubert u b. dyrektora teatru lwowskiego p. Władysława Barącza, z prośbą o przyjęcie na naukę. Stało się to za zgodą ojca, który wyraził nadzieję, że syn jeszcze kiedyś zagra tytułową rolę w jego znakomitej tragedyi „Malek“, a on, ojciec, tego doczeka...

Po nauce u Barącza, zaciągnął się pan Brzozowski w szeregi aktorów prowincyonalnych pod dyrekcyą Piaseckiego i grywał po różnych miasteczkach Galicyi, poczem przeniósł się do teatru ludowego w Warszawie, którym kierował Gawalewicz. Po roku zgłasza się u dyrektora Pawlikowskiego we Lwowie i ten angażuje młodego artystę na stałe.



Hubert Brzozowski.

Debiutował jako Kacperek Szczyglik w „Majstrze i czeladniku“. Dowiódł bezsprzecznie, że ma talent. Z innych ról miał duże powodzenie w sztukach „Interes interesem“ (Ksawery Lachat), „Lilith“, w której grał Panicza, a po Tarasiewiczu Studenta, „Ijola“ (Heno Pazik) i t. d.

Grywa często, a dyr. Pawlikowski umiejętnie kieruje młodym talentem, wybierając dlań role najstosowniejsze. Sposobi się do amantów bohaterskich i salonowych, po czemu ma doskonałe warunki. Recenzye podnoszą w grze jego szczerość uczucia i dobry głos.

Przyszła kolej i na „Maleka“.. Syn znakomitego poety grał rolę tytułową i podobał się bardzo, jak wogóle cały dramat... Cośkolwiek późno się to wszystko działo... Ojciec i poeta nie słyszał już płomiennych słów swoich, głoszonych przez usta syna ze sceny... Był już w grobie od tygodnia...

Młody artysta zdaje sobie jasno sprawę ze swego zadania, a wyjątkowa odpowiedzialność, czy obowiązek utrzymania nazwiska, tak pięknie zapisanego w historyi polskiej Sztuki, jest dla niego wystarczającym bodźcem do sumiennej pracy.

Wolno spodziewać się, że już wkrótce powitamy w panu Brzozowskim aktora naprawdę dobrego. *Klewe.*

GASTON CLOMNER.

We własnej sieci.

Współczesna powieść kryminalna.

Z angielskiego przełożył **M. S.**

4 (Ciąg dalszy).

Dziewczę w krótkich, urywanych słowach, zaczęło opowiadać mu o tajemniczem zniknięciu ojca, na co przybyły zerwał się, jak oparzony.

— Co? co? — krzyknął z teatralnym patosem — mój ukochany brat zniknął?!... Pani mówisz, że prawdopodobnie spotkało go jakieś nieszczęście?!... Nie! to niemożliwe! to straszne! okropne!...

Helena ze zdziwieniem spoglądała nań i zerwała się z foteliku, na którym siedziała.

— Przepraszam... więc pan byłbyś... naprawdę?...

— Franciszkiem Springerem, jego jedynym bratem! Tak, tak, proszę pani, a jeśli ty jesteś jego córką, to zyskujesz we mnie opiekuna i obrońcę i jako takiego, możesz mnie powitać!... Boże, ty mój Boże! od iluż to lat z upragnieniem oczekiwałem tej chwili, w której go znów zobaczę i jaki byłem niepocieszony, że, spóźniwszy się na pociąg, nie mogłem jeszcze wczoraj przybyć do Hamburga i oczekiwać go w przystani!... Biedny Rudolf, nie mało musiał gniewać się na mnie, bo chyba nie ma, nie było i nie będzie na świecie dwóch takich kochających się i czułych braci, jak my obaj!

Pan Franciszek Springer nie mało silił się — aby głosowi swemu nadać dźwięk szczerości i ciepła, lecz bezskutecznie. Słowa jego brzmiały nienaturalnie i przykre jakieś wrażenie zrobiły na młodem dziewczęciu, już choćby tylko dlatego, że nie zgadzały się z tem, co wczoraj słyszała z ust ojca. Ale w swem beznadziejnem położeniu uważała w każdym razie za cudowne zrządzenie Opatrzności fakt, że będzie miała przy swoim boku krewnego, który zajmie się i nią i odszukaniem jej ojca. To też pozwoliła stryjowi ująć się w ramiona i w milczeniu zniosła ojcowskie pocałunki, które spasiony jegomość w formie długiego, przeciągłego mlaskania i ślinienia złożył na jej czole, poczem usiadła przy nim na kanapce i ze łzami w oczach, drżącym głosem, poczęła opowiadać, co ich spotkało od chwili wylądowania.

Pan stryj słuchał jej pilnie i burzył się coraz więcej, aż w końcu zerwał się na równe nogi, począł krążyć po pokoju i zaklinać się na wszystkie świętości, że musi odnaleźć brata, chociażby go to nawet życie miało kosztować.

Sam jednak nie wiedział, jak się ma wziąść do tego, na jaką drogę skierować swoje poszukiwania, bo same tylko zaklęcia i zapewnienia padały z ust jego, jak grad i to póty, póki wreszcie zmęczony, wyczerpany i zasapany nie padł na fotel, stojący koło kanapki.

W tej samej chwili na korytarzu rozległy się ciężkie, miarowe kroki i ktoś krótko zapukał do drzwi. Helena wiedziała, że to przyszedł mister Parker, ale wprost nie czuła się na siłach powiedzieć: „proszę“, bo jakiś tajemny głos szeptał jej w duchu, że nadeszła stanowcza pora, w której dowie się czegoś strasznego o swoim ojcu. Anglik nie czekał jednak na zaproszenie i sam wszedł do pokoju. Twarz jego miała wyraz tej samej obojętności, co zawsze, ale młode dziewczę dostrzegło na jego czole głęboką zmarszczkę, której nigdy tam przedtem nie było.

— Na miłość boską, mister Parker! — krzyknęła — co się stało? co jest z moim ojcem?!...

— Zbierz pani siły, miss Springer! — rzekł poważnie Anglik — przynoszę pani niezbyt pocieszającą wiadomość, ale my wszyscy jesteśmy w ręku Boga i bez Jego woli nic na świecie stać się nie może!...

Z okrzykiem dzikiej, beznadziejnej rozpaczy usunęło się młode dziewczę na kolana i twarz ukryło w swych dłoniach. A i Franciszek Springer porwał się z krzesła. O ile przedtem boleść jego wyglądała na udaną, to teraz czerwona twarz okryła się trupią bladością i w oczach malowała się prawdziwa trwoga.

— Czy pan wiesz, co się stało z Rudolfem Springerem? — zapytał drżącym, ochrypłym głosem Anglika. — Zdaje się, że pan nie masz zamiaru przerażać nas napróżno!

Mister Parkier obrzucił go zimnem spojrzeniem.

— Przepraszam! — rzekł chłodno — ale najpierw muszę wiedzieć, z kim mam przyjemność rozmawiać!... Czy pan jesteś może przyjacielem, albo krewnym mego nieszczęsnego towarzysza podróży?...

Obaj mężczyźni spoglądali sobie oko w oko — a ktoby był wówczas przypatrzył im się bystrzej, ten z pewnością byłby zauważył, że w ich wzroku przebijała się nie sama tylko konwencyonalna ciekawość.

— Czy ja jestem jego krewnym? Ach, mój panie! ja jestem jego jedynym bratem i istotnie byłby to dla mnie prawdziwie śmiertelny cios, gdyby... gdyby...

Franciszek Springer nie dokończył, bo mister Parker dał mu znak ręką, że domyśly jego nie są bezpodstawne i rzekł z powagą:

— Wobec tego będzie może lepiej, że ja rozmówię się tylko z panem, a pan następnie uwiadomisz sam miss Springer o smutnej wieści, której jestem zwiastunem...

— Nie! nie! — zawołała Helena, spoglądając błagalnie przez łzy na Anglika, — Nie bierzcie mnie już dłużej na tortury! Najokropniejsza prawda nie będzie dla mnie taką męką, co ta straszna niepewność...

— Tak jest, miss Springer ma racyę! — odezwał się Anglik — byłoby okrucieństwem ukrywać przed nią to, o czem musi dowiedzieć się niebawem. Ojca pani znaleziono przed godziną. Padł on ofiarą nieszczęśliwego wypadku, którego przyczyny są jeszcze tajemnicą. Zwłoki jego wydobyto z wody w pobliżu przystani... W ciemności zapewne stanął nad brzegiem, niezabezpieczonym poręczą i runął w morze. To tylko jest dla mnie zagadką, jakim sposobem zabłąkał się w tamtą stronę. Dowiedziałem się tyle tylko w policyi, bo spieszyłem się, aby uprzedzić urzędnika, którego wysłano do pani z tą smutną wieścią...

Usłyszawszy to, Helena z całą stanowczością oświadczyła, że musi w tej chwili zobaczyć zwłoki ojca i że gdyby stryj nie mógł jej towarzyszyć, to uda się tam pod opieką Parkera. Franciszek Spuinger płakał, jęczał, przeklinał cały świat i ludzi, łamał ręce i wciąż powtarzał imię swojego brata, ale choć Helena szybko ubierała się do wyjścia, nie brał z niej wcale przykładu.

— Ach, moje kochane dziecko! — zajęczał wreszcie, ciężko wzdychając — Bóg widzi, jakbym pragnął pojechać z tobą, ale nie mogę! Sił mi po prostu nie staje! Mam takie słabe nerwy, że nie mogę patrzeć na trupa całkiem obcego mi człowieka, a cóż dopiero działoby się ze mną, gdybym miał spojrzeć na zwłoki najukochańszego mego brata, który zginął taką straszną, niespodziewaną śmiercią! Widok ten do końca życia ścigałby mnie bez przestanku i nawet we śnie nie miałbym chwili spokoju. Nie! niechaj ci już mister Parker towarzyszy tym razem, ja tu pozostanę, bo wolę zachować w pamięci obraz najdroższego mego Rudolfa taki, jakim go widziałem przed dwudziestu sześciu laty!...

Młode dziewczę odpowiedziało na te wszystkie tyrady tylko niecierpliwem skinieniem głowy i wyszło czemprędzej z pokoju w towarzystwie sztywnego Anglika.

Nic — tylko nieszczęśliwy wypadek!

Kostnica, do której w godzinę później zdążała Helena wraz z Anglikiem i komisarzem policyi, był to niski, posępny domek, wznoszący się wśród małego ogródka. Dorożka, wioząca trzy osoby, stanęła u jego wejścia i młode dziewczę, poprzedzone przez urzędnika, wsparłszy się na ramieniu mister Parkera, wolnym krokiem ruszyło wąską, piaskiem wysypaną ścieżyną, ku szarym, posępnym murom, w których wnętrzu złożono zwłoki jej ojca. Ogłuszona nagłym tak strasznym ciosem, niepojmująca wielkości swej straty, Helena szła jak nieżywa i pozwalała robić wszystko ze sobą.

Ciąg dalszy nastąpi.

FORTEPIAN CZY ŻONA?

HUMORESKA.

NAPISAŁ NIEMIRYCZ.

ROZDZIAŁ I.

Znacie pana Klawiszewskiego? To nasze „słońce“ na horyzoncie muzycznym? Tę „pochodnię“, rozświetlającą ciemności harmonii i kontrapunktu?

Popatrzcie na niego!...

Rozwichrzona czupryna, zadarty nosek, z wiecznie zlatującem *pince-nez*, krogulczo zakrzywione paznogcie, pod pachą zwój nut, a w prawicy cieniutka laseczka, którą ciągle wymachuje, jak batutą, spiesząc się z lekcyi na lekcyę, z piętra na piętro, z ulicy na ulicę, do swych elewów...

Jednak pan Klawiszewski nie odrazu był słońcem, nie odrazu jasno płonącą pochodnią.

Znałem go jeszcze z czasów, w których co najwyżej, w najśmielszych i najdalej idących porównaniach, nazwać go było można „gwiazdką“, małą gwiazdką, nikłym, kopcącym (nie w złem znaczeniu) kagankiem.

Klawiszewski miewał w młodym wieku awanturki, a ja jestem jego powiernikiem, rodzajem męskiej *duenny*.

Mój przyjaciel, muzyk, miał j e d n o pragnienie, jedno z tego rodzaju, jak pragnienie prawowiernego Muzułmanina oglądania trumny proroka, dewotki — kanonizowania za życia, redaktora — pozyskania gratisowych współpracowników...

Mój przyjaciel pożądał namiętnie (proszę się nie gorszyć) — Klawiszewski, powiadam, wrzał żądzą posiadania fortepianu!

Własnego, z nieograniczonem prawem użytkowania i rozporządzania fortepiano.

Ba! od chęci do czynu daleko...

Na zakupienie nowego instrumentu nie miał, na zakupienie starego także nie miał; na kredyt nie dostał, pożyczki, potrzebnej do kupna, także nie dostał...

ROZDZIAŁ II.

Pewnego dnia wpada do mego mieszkania „Klawcio“ — jak w poufałem kółku go zwano.

Nie zdejmując kapelusza z głowy, rzuca w jeden kąt cienką laseczkę, w drugi nuty i impetycznie daje susa w moim kierunku, z rozłożonemi rękoma, jakby w zamiarze zduszenia mej, nic nie znaczącej, a jednak dla mnie tak cennej osoby.

— Zwaryował!... mój biedny przyjaciel zwaryował!... — wpadła mi myśl, jak grom, do głowy.

Zastawiam się stołkiem...

Muzyk daje drugiego susa — chwila — wydziera mi stołek i odrzuca na bok — druga chwila: już mnie ma!!!

— O! o! o! — jęknąłem, duszony w kościstych uściskach szaleńca — Alfonsie! Klawciu!... upamiętania!...

Poskutkowało.

Nagniótłszy mi piąte żebro z prawej strony, cisnął mnie z kolei, jak poprzednio stołek — ku oknu i patrząc na mnie wzrokiem, od którego mi szpik w kościach zamarzał, ryknął:

— Cieszmy się!... kupuję fortepian!!

Nie będąc jeszcze zupełnie przekonanym o poczytalności mego przyjaciela i rozcierając krzyże i części im przyległe, miejsca pchnięciem na okno uszkodzone nieco, bąkam, wpatrzony niespokojnie we wzrok przyjaciela:

— Ach, fortepian? taak? o cieszę się! bardzo się cieszę! co mówisz? fortepian? prawdziwy fortepian?!...

— Już go mam!... tu, tu! — wrzasnął, uderzywszy się po trzykroć ręką po kieszeni.

Obawy moje przybierają wszelkie cechy prawdopodobieństwa.

— Gdzie?! — krzyknąłem z determinacyą.

— Zwierzyniecka 25 - recytował jednym tchem mój muzyk — piętra nie pamiętam, tanio do nabycia, jeszcze w dobrym stanie. Bądź zdrów!... lecę, targuję, odnoszę, mam!!...

Podskoczył w lansadach ku drzwiom, podniósłszy w biegu ze zwinnością małpy lub skoczka nuty i laskę z ziemi — i znikł.

ROZDZIAŁ III.

Zwierzyniecka 25! *ten a ten!*

Pan oficyał przy obiedzie z rodziną.

Pan oficyał jada systematycznie o godzinie pierwszej.

Pani oficyałowa zna systematyczność męża — panna oficyałówna ojca.

Państwo oficyałowie mają 3 pokoje, z których jeden jest „salonikiem“, zwanym tak dla tej doniosłej okoliczności, iż między dwoma okuami znalazł w nim pomieszczenie — fortepian...

Godzina 1, minut 12 — sztuka mięsa.

Godzina 1, minut 15 — dzwonek — gwałtowne szarpnięcie drzwiami od przedpokoju.

— Goście!... — krzyknęła panna oficyałówna i spłonęła wielce znaczącym rumieńcem.

— Goście! Teciu! — szepnęła matka do córki z wiele mówiącem spojrzeniem.

— Gooo... — podjął systematyczny pan oficyał, ale nie miał czasu skończyć.

Wpada młodzieniec z rozwichrzoną czupryną, zadartym noskiem, z którego właśnie spadło *pince-nez*, z krogulczo zakrzywionemi paznogciami, dzierżąc pod pachą zwój nut, a w prawej ręce cieniutką laseczkę — którą wymachuje jak batutą — i pyta:

— Fortepian tu?

A widząc przedmiot swych namiętności przez otwarte drzwi saloniku, wpada tam jak bomba, zamyka drzwi do jadalni i znika.

— To on! — wydała lekki okrzyk panna oficyałówna.

Pan oficyał — jak wiadomo — jest wielkim systematykiem, a wielkiej tej zalety nabył, pracując od lat 20 przy t. zw. „c. k. Registraturze“. Podczas więc, gdy matka i córka zamieniały pytające spojrzenia, zmieszane i zdziwione tą nagłą intromisyą, pan oficyał dokończył z uznania godną systematycznością sztuki mięsa, odłożył na prawą stronę nóż, a na lewą widelec i poprawiwszy okularów, rzekł głosem inkwizytora:

— Wymagam wyjaśnień!...

Ale zamiast żądanych wyjaśnień, zabrzmiał z „saloniku“ taki chaos zmieszanych tonów, akordów i pasażów, wybębnionych z taką furyą, że pan oficyał, zapomniawszy na chwilę o całej systematyce, zerwał się z krzesła i zawołał:

— Ten waryat rozbije mi fortepian! — i poskoczył ku salonikowi w widocznych nieprzyjacielskich intencyach dla młodego wirtuoza.

— Tatku! — jęknęła błagalnie panna Tecia, chwyciwszy ojca za rękaw.

— Mężu! nie wypada! — zaoponowała jejmość, zagrodziwszy poważną swą paraferyą drzwi saloniku.

Pan oficyał miał czas wrócić do równowagi, jak niemniej miejsca, poprzednio zajmowanego, przy stole.

Salonik tymczasem grzmiał „dziką orgią rozpasanych tonów“, wyrażając się stylem naszych dekadentów.

To jednak nie przeszkadzało pani oficyałowej zbliżyć się z krzesłem na poufałą odległość ku mężowi, położyć pulchną, kilkunastofuntową łapkę na kościstem jego ramieniu i głosem najsłodszym przemówić:

— Tytusie!... ten młody człowiek...

— Waryat! — mruknął oficyał.

— To mało jeszcze! — pochwyciła skwapliwie małżonka.

— Kocha! — dorzuciła panna Tecia, spłonąwszy jak sucha zapałka.

— Gdzie?... co?... kogo?... — żachnął się oficyał — mówcież na miły Bóg s y s t e m a t y c z n i e! D. n.

Szarady.

Ułożył „Flirt“ R manów.

I.

Drugie pierwsze, jest prosty wyrób z drzewnej kory
Z niego robią obuwie, powrozy i wory,
Trzecie rzeka niemała, zaś trzecie i czwarte
Użyteczne są w zimie, w lecie nic nie warte;
Wszystkie, w całość złączone utwory muzyczne,
Nie są to arcydzieła, lecz dla ucha śliczne.

II.

Drugie trzecie, wskażą snadnie,
Jaka długość nam wypadnie,
A i wierszyk się nie skleci
Bez koniecznej drugiej trzeciej.
Trzecia, pierwsza, papier mieści
Ma arkuszy nie trzydzieści,
Nie pięćdziesiąt, setki całe;
Wszystkie nieraz doskonałe.
Wszakże ludzie ich nie cenią,
Póki w czyn się nie zamienią.

Rozwiązania z Nru 19.

Rebus: Każdy ma otwarte pole do zasługi.
Szarady: Materace.
Arytmogryf: Karol Kurpiński.

Dobre rozwiązanie wszystkich zagadek nadesłali Pp.: M Arbesbauer Lwów, W. Kamiański Sokal, Remiszewski Załawie ad Biecz, A. St. Bassara Niwiska, Z. Rokilka Stanisławów, B. Ramułtowa Jeżów ad Bobowa, I. Turzyńska Lwów J. Flasza Kraków, F. Josefert Kraków, K. Tuch Peczeniżyn, M. Zollnerówna Tarnopol, K. Chłopicka Zawałów, Z. Gocka Rożniatów, W. Leitner Kraków, J. Habermann Mikulińce, L. Przewoźniczek Sieniawa, L. Maruszczak Jezierzany Piłatkowce, H. Mokrzycka Turbia, T. Domain Sanok, P. Piasecki Krzepińce ad Buczacz, St. Łaszkiewicz Słotwina ad Brzesko, K. Chodkiewicz Zbydniów, St. Kąkol Wadowice. J. Fiedler Rozwadów, S. Mika Nowy-Sącz, M. Zoellner Rozwadów, M Rożański Nowy-Sącz, R. Żabka Biała, Stadnik Grabiny.

Częściowo dobre rozwiązania nadesłali Pp. St. Medycki Burkanów, R. Rzeziński Złotniki. A. Ulrich, St. W. Andrysik Podgórze, M. Opolska Czarny Dunajec, W. Hałdziński Lichwin, M. Cetera Dubiecko, W. Kisielewski Stryj.

Nagrodę za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek otrzymał przez losowanie p. Remiszewski, Załawie ad Biecz. Prosimy o przysłanie 50 halerzy na koszta przesyłki.

NADESŁANE.

(Za ten dział Redakcya nie odpowiada).



LE TROIS BONTES.

PARK KRAKOWSKI. — TEATR ROZMAITOŚCI.



Motorowo-błyskawiczna śmiertelna jazda w obręczy.

Z Teatru Rozmaitości w Parku Krakowskim.

Dnia 15 b. m. rozpoczęły się w Parku krakowskim w teatrze letnim nadzwyczaj interesujące przedstawienia, dotychczas w Krakowie nieznane, z których podajemy poniżej dwa zdjęcia. Przedstawienia te wywołują u wszystkich zwiedzających prawdziwą sensacyę. Zaznaczyć zaś musimy, że na przedstawienia te uczęszczać mogą zupełnie swobodnie rodziny, panny i dzieci, gdyż są to widowiska skromne, interesujące tylko artyzmem wykonania.

Nowości w bluzach, halkach i bieliźnie

M. Beyer i Spółka
Kraków
Sukiennice l. 12, 13, 14

Na sezon obecny polecamy P.T. cyklistom znakomite rowery i koła motorowe słynnej marki:

„PUCH RAD“

firmy: **JAN PUCH**
PIERWSZE STYRYJSKIE TOWARZYSTWO AKCYJNE FARRYKI ROWERÓW W GRACU.

Na składzie utrzymujemy również **rowery** fabryki:

„METEOR“

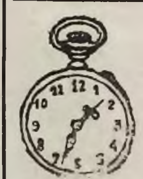
jakoteż wszelkie przybory rowerowe w wielkim wyborze.



Libmann i Machauf
Kraków, ul. Lubicz 7.

Aparaty fotograficzne, zawsze świeże klisze, papiery oraz wszelkie inne przybory fotograficzne poleca po cenach nader niskich

Niemetz i Sp.
w Krakowie,
Szewska l. 2 pierwszy dom od rynku.



Na żądanie wysyłam **wielki CENNIK illustrow.** **zegarów**, wyrobów jubilerskich z chińskiego srebra i t. p.

F. Pamm, Kraków
ul. Zielona 3, II. p:

„ARS“

Salon sprzedaży rzeźb i obrazów artystów polskich, otwarty codziennie w **dnie powszednie** od 10 do 1-szej zrana i od 2 do 4 po południu.

Ul. Bracka 5, na parterze.

BEZ NAUCZYCIELA!
BEZ NAUKI I BEZ ZNAJOMOŚCI NUT!



Nr. 134.

może każdy grać na mojej trąbce samogrającej i flecie: pieśni, tańce, i marsze. Poleca się szczególnie na wesela i zabawy. Do każdego instrumentu dodaje się darmo łatwo zrozumiałą szkołę. Przesyłka za zaliczką przez dom wysyłkowy instrumentów muzycznych

A. Scheuer
w Krakowie
ul. Grodzka 59/6.

Bogato ilustrowane cenniki instrumentów muzycznych oraz zabawek na żądanie darmo i opłatnie.



Nr. 135.

Nr. 134. Trąbka samogrająca ma 10 klawiszy, 20 głosów, 2 klapy basowe, 36 cm., złr. 1·10, 3 szt. złr. 3.

Nr. 135. Flet na 10 klawiszy, 20 głosów, 2 klapy basowe, fason cylindrowy, 40 cm., złr. 1·50, 3 szt. złr. 4.

Eleg. spodnie spacerowe złr. 2·50

poręczonej doborowej jakości, trwałe, posiadające najnowszy fason, solidny kolor i nienaganny wiedeński krój, sprzedajemy **za bezcen** jedynie z powodu [illegible]. Przy zamówieniu wystarczy podać całą długość, objętość w pasie i długość w kroku. Wysyłka za zaliczką lub za poprzedniem nadesłaniem pieniędzy przez

Dom Exportowy ubiorów męskich i dziecinnych
KRAKÓW, GRODZKA 31.

Nieodpowiednie zamienia się bez jakichkolwiek trudności. Każde zamówienie na miarę z garderoby męskiej i dziecinnej zostanie również bardzo szybko i rzetelnie po najtańszych cenach fabrycznych uskutecznione. Aby się każdy mógł przekonać, o naszych niezrównanie niskich cenach, prosimy uprzejmie o zamówienie próbne i o liczne zwiedzanie naszego składu fabrycznego

Kraków, ul. Grodzka 31. — Dostawcy związku c. k. urzędników państwowych. — Filie w Łańcucie i w Gorlicach. 2 10-29

S. Piotrowicz
rymarz i siodlarz
(przedtem A. Szklarski)
W KRAKOWIE
ul. Floryanska l. 8
poleca wyroby własne: uprzęże, siodła, kufry i przybory do podróży.
Ceny umiarkowane



BIURO NAUCZYCIELSKIE
Stefanii Łapszów z Trembeckich Zwilling
Kraków, ul. św. Jana l. 2 róg Rynku Głównego
poleca:
Nauczycielki, Guwernantki, Nauczycieli, Guwernerów oraz Wychowawczynie i Bony różnej narodowości.



Spłaty częściowe!

dozwolone za poprzedniem ustnem lub listownem porozumieniem się.

Bezsprzecznie największy wybór!

Renomowana i powszechnie znana firma

Dom towarowy „AU LOUVRE“

we Lwowie, ul. Sykstuska l. 6 (Pasaż Hausmana)

poleca swój obfity i bogato zaopatrzony skład wszelkich możliwych gatunków dywanów (także kościelnych i przed ołtarze) dywaników, portyer, firanek, chodników, kap na stoły i łóżka, cerat, linoleum, kołder, koców, der na konie oraz wszystkich innych przedmiotów dekoracyjnych po nader niskich cenach konkurencyjnych.

Za nadesłaniem nam marki pocztowej za 10 h. wysyłamy nasze bogato illustrowane cenniki, w których są opisane także towary lniane i bawełniane, bielizna męska i damska szyfony, płótna, bielizna stołowa i inne ważne artykuły, w zakres domowego gospodarstwa wchodzące. Zlecenia z prowincyi załatwia się odwrotnie.

By ujść pomyłkom, prosimy na nasz adres dokładnie zważać.

Z poważaniem Zarząd firmy: [illegible]

Dom towarowy „Au Louvre“
Lwów, Sykstuska 6.

URZĄDZENIA **ŚWIATŁA ELEKTRYCZNEGO**





i przeprowadzenia prądu dla przeniesienia siły
podejmuje się firma:

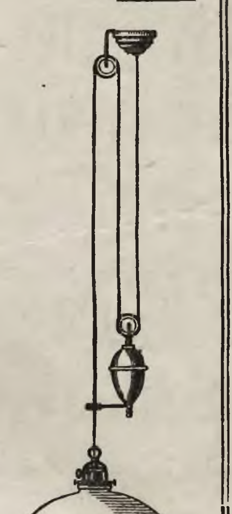
LIBMANN I MACHAUF

SKŁAD PRZYBORÓW TECHNICZNYCH

KRAKÓW, UL. LUBICZ 7
(NAPRZECIW DWORCA KOLEJOWEGO)

TELEFON L. 360





Na składzie utrzymujemy elektromotory, wszelkie przybory do światła elektrycznego jakoteż

ŚWIECZNIKI

w różnych stylach i do różnych celów.
Kosztorysy udzielamy bezpłatnie.

CUKIERNIA
Kazimierz Sotschek
LWÓW
poleca się P. T. Publiczności.
Bufet w teatrze miejskim.
Wszelkie zamówienia wykonuje odwrotną pocztą.

Posiadacze losów
mogą u nas dostać za nie pełny kurs dzienny i na życzenie te same losy (tj. te same numera) grając na nie bez przerwy, nabyć na dogodne spłaty miesięczne. Losy gdziekolw. zastawione, wykupujemy i przeprowadzamy powyższą transakcyę.
Polecamy uprzejmie naszą firmę do wszelkich obrotów bankowych. Kupno i sprzedaż obligacyj, losów i monet. — Ajentów żadnych nie wysyłamy. — Kalendarzyk bankowy bezpłatnie.
Schütz i Chajes, Dom bankowy
we Lwowie, plac Maryacki 7.

Odpowiedzialny redaktor: Wiktor Nimhin. Wydawca i właściciel: Stanisław Lipiński. Z drukarni Władysława Teodorczuka w Krakowie, ul. Zielona 7.
Klisze z zakładu T. Jabłońskiego i Ski w Krakowie.